





BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 13.

# Zakopane Skarby

(POWIEŚĆ)

Jana Zacharyasiewicza

z przedmową

Teodora Jeske-Choińskiego.



Jan Zacharyasiewicz

**Cena 25 kop.**

W prenumeracie 19 $\frac{1}{2}$  k.

**WARSZAWA.**

**Redakcja i Administracja:**

**47. Nowy-Swiat 47.**

1897







Zakopane Skarby.

Jan Zacharyasiewicz.

# Zakopane Skarby

POWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ

Teodora Jeszke-Choińskiego.



WARSZAWA.

Drukarnia Artystyczna

Saturnina Sikorskiego.

47 Nowy-Świat, 47.

12885





268499

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
Im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145586

W/163/03



## ZAKOPANE SKARBY

Złoty Cielec był po wszystkie czasy jednym z „złych duchów“ tej ziemi, siewcą nienawiści i niezgody, pomocnikiem nieszlachetnych instynktów człowieka.

Dając wygodny byt, szacunek u motłochu, łątwą miłość, słowem wszystko, za czem się ludzie przeciętni zwykle ubiegają, przykuwał on do swego rydwanu zawsze liczną rzeszę kornych wyznawców, którzy bili przed nim czołem, wołając: wielki, większy, największy! W jego służbie łamała się duma, słabła prawość, sprzeniewierzał się obowiązek. On zaludniał i zaludnia dotąd kryminały i domy zdrowia. Z szatańskim uśmiechem demona unosi się nad ziemią, drwiąc z niesamolubnych popędów śmiertelnika. Tyranizuje ubogich, podnieca chciwość bogatych, dra-



źni nieszczęśliwych, pokazując im zdaleka raj wymarzony.

Od samego początku walczyły z nim cnota, duma człowieka, „stworzonego na obraz i podobieństwo Boże“, i pogarda przemijających rozkoszy tej ziemi. Obniżali jego znaczenie prorocy, filozofowie, poeci i wodzowie, lekcewały go wszystkie jasne, podniosłe dusze historyi. Rzym postawił naprzeciw niemu cnotę obywatelską (*virtus romana*), chrześcijaństwo świętość ubóstwa (*res sacra miser*), wieki średnie honor rycerski. Ale on, przyczaiwszy się w epokach zdrowia duchowego, uśmiechał się chytrze, czekając cierpliwie na chwilę omdlenia, wie bowiem z długiego doświadczenia, iż słaby śmiertelnik nie wytrzyma długo na wyżynach zapału, natchnienia, ofiary. Wielkie masy, pospolici „zjadacze chleba“, stygną bardzo prędko, a wybranych posiada każde pokolenie garstkę bardzo szczupłą. Jeść trzeba zawsze, ubrać się i mieszkać gdzieś, rozkoszy pragnie każda jednostka w młodości, byt zaś i to, co się nazywa szczęściem doczesnem, daje głównie pieniądź, czyli niezależność materyalna. Tak wnioskuje, nie zraża się Złoty Cielec chwilową porażką, lecz zmruża oko i spogląda ironicznie na wysiłki „idealistów“. I nie-

jeden z was przyjdzie wkrótce na moje podwórko, mówi stary znawca życia, tylko pożeńcie się i miejcie dzieci, które będą wołały o chleb.

Doskonałą ilustracją potęgi Złotego Cielca jest powieść Jana Zacharyasiewicza, osnuta na tle dawniejszych czasów.

Znajomość życia i natury ludzkiej wcielił Zacharyasiewicz w postać bardzo oryginalną, która nadaje się wybornie do opowiadania fantastycznego.

Pan Krzysztof Boleszczycki, jakiś potomek po matce smutnej pamięci pośła upitskiego, Sicińskiego, wziął po grzesznym przodku razem z krwią jego duszę niezgodną, radującą się obrazem głupoty i chciwości ludzkiej. Bawi go waśń, podnieca nikczemność, wprawia w złoty humor cudze nieszczęście.

Chcąc rzucić w swoją rodzinę kość wieczystej kłótni, wymyślił sobie ten demon złości jakiś skarb zakopany. Tylko wówczas—oświadczyi krewnym—opuści skarb swoją kryjówkę, gdy zbierzecie się wszyscy na miejscu wskazanem, złączeni szczerą miłością, zgodni i ożywieni tą samą myślą.

Skarb został oczywiście w ziemi, obietnica bowiem majątku poważniła rodzinę. Każdy z jej człon-



ków szukał dróg i środków, aby ukryte złoto, dawcę rozkoszy i niezależności, pozyskać dla siebie.

Obok głównego aktora powieści postawił Zacharyasiewicz kilka figur charakterystycznych, z których każda odcina się wyraźnie od tła, zabarwionego umiejętnie kolorytem epoki.

Opowieść, trzymana w tonie szlacheckiej gawędy, odznacza się żywością i zręcznie splecioną intrygą. Tok naracyi płynie równo, dążąc wartko ku katastrofie, przygotowanej przez autora stopniowo.

Mimo tła w części archaicznego, nie traci powieść Zacharyasiewicza nic na t. zw. aktualności, chciwość bowiem ludzka i rodząca się z niej niezgoda pozostaną aż do wygaśnięcia rodu ludzkiego „aktualnemi“, współczesnemi. Zmieniają się suknie, zwyczaje i obyczaje, zmieniają się upodobania i poglądy, ale „ukryte w ziemi skarby“ będą człowieka, na jego nieszczęście, zawsze z taką samą siłą kusily.

Teodor Jeske-Choiński.

## I.

### W kółku rodzinnem.

Świadkiem pan cześniak i jego dostojna małżonka, u których co roku w dzień św. Stanisława bywam z całą moją rodziną, jako też i pan sędzia to samo poświadczyć może, że nigdy nie miałem zwyczaju, źle mówić o moich sąsiadach. A przecież Boleszczyccy worali mi się w moje łąki, wycięli mi pięć najpiękniejszych dębów, a nawet rzucili kalumnię na moją żonę, jakoby ona była niedobrą kobietą i zbyt często mnie łajała. Jakkolwiek to niewiele kobiecie potrzeba, aby się fukać i w domu zrzędzić, to przecież każdy poczciwy katolik wie o tem, że trudno o raj na tym padole płaczu i że często gęsto przyjdzie Bogu ofiarować zmartwienia domowe.

Ale wracam do Boleszczyckich.

Grunta Boleszczyckie zaczynają się zaraz za ogrodem starego mielnika, Mikołaja Ryby, który lat trzydzieści służył u mnie za ogrodnika i trudnił się przy tem robotą stolarską. I on miał nieraz do czynienia z panami na Boleszczykach, ale o tem później.



Do samych Boleszczyc można ztąd zajechać prostą drogą za jakie dziesięć pacierzy, a gdy do tego dotasz *Gwiazdo jasna i zaranna*, to będziesz już przed samym dworem, do którego niegdyś prowadziły trzy wielkie gradusy. Dzisiaj stoi ten dwór pustką, nietoperze i sowy gnieźdzą się w dachu dziurawym a między rozsypanem rumowiskiem pelzają gady i inne obrzydliwe potwory.

A przecież pamiętam, że dawniej bywało tam inaczej. Gdy moją żonkę, którą rodzi JMPani staroscina Przemyska, w dom przywiozłem, a jest temu dzięki Bogu lat pięćdziesiąt, zaprowadziłem ją do mojej apteczki domowej, do spiżarni i kuchni, pokazałem jej oborę i całe obejście, ale że to było rozpieszczone paniątko, to zaraz do mnie:

— Wasze myślisz, żeś mnie wziął w służbę, jakby klucznicę jaką. Pokazujesz mi wódkę zaprawioną kminkiem, suszone sliwki i sadło z przeszłego roku. Co mi do cieląt i gęsi? Niech mnie wasze zapozna z sąsiedztwem, niech wiem, czy mogę tam bywać i bawić się.

Zrazu chciałem się skrzywić na to, bo jakoś nie po myśli było mi takie gadanie młodej mojej żonki, ale zważywszy zaraz, że kobiecie w domu nigdy sprzeciwiać się nie trzeba, potarłem ręką po czuprynie i rzekłem:

— A jużci i to nastąpi, moja królewno, myślałem tylko, że wprzód trzeba się w domu rozejrzeć czy wszystko...

Nie dała mi dokończyć moja śliczna Basia, bo zmarszczywszy białe czoło, zapytała nagłe:

— Gdzie jutro pojedziemy?

— Do JMPana Pawła, jeśli ochota — odpowiedziałem pokornie.

— Któż jest ten pan Paweł? — poderwała szybko.

— Szlachcic na zagrodzie i dobry sąsiad — dorzuciłem.

— Czy ma dwór okazały?

— Ubogi, ale poczciwy domek — rzekłem z odwagą.

Śliczna moja Basia rozśmiała się dosyć głośno. a choć już od tego czasu, dzięki Bogu, pięćdziesiąt lat upłynęło, ten śmiech jednak zatrzymałem dobrze w mojej pamięci i ilekroć on się w tych pięćdziesięciu latach powtarzał, zwiastował mi zawsze coś niedobrego, o czym mój proboszcz, ksiądz Jacek, wiele mógłby opowiadać. Ale że to w dawnych czasach przygotowano nas na to, że życie ludzkie nie składa się z samych róż i kwiatów, ale że ciernie i głogi między nie się wplatają, toż nie straciłem odwagi i młodej żonce odpowiedziałem z należyłą determinacją:

— Jeżeli ochota, to zaprzęgnę siwki do złótej kolasy i zawiozę panią do Boleszczyc, przed biały, okazały dwór, do którego wstępuje się po trzech murowanych gradusach.

I któż mi powie, że nie wiedziałem, co mojej ślicznej Basi powiedzieć. Ledwo słowa moje usłyszała,



śmiejnęła się łaskawie, a ścisnąwszy mnie za rękę, rzekła:

— Wiedziałaś o tem, że mnie tylko na próbę wasze wystawiasz, aby się o moim afekcie przekonać. Jutro po obiedzie wybierzemy się żółtą kolasą, i tak jest pełnia na niebie, możemy bawić w gościnie do późnego wieczora.

Radowałem się sam sobą, że tak dobrym konceptem przysporzyłem sobie szczęścia w domu, bo też cały ten dzień była tak dobrej myśli, tyle mi krotocwilnych nagadała rzeczy, że zasnąłem szczęśliwy, marząc o jutrzejszej wizycie.

Jakoż nazajutrz zaraz po obiedzie wskoczyłem na kozioł żółtej kolasy, bo wewnątrz dla różnych pudeł i pudełek, które jejmość z sobą wzięła, nie było miejsce dla mnie, a za kilka chwil stała już nasza kolasa przed dworem w Boleszczykach.

Pan Jędrzej Boleszczycki był to sobie pan całą gębą. Cenił on wysoko swój klejnot starodawny, który sięgał aż po czasy Bolesławowskie. Boleszczyce mają w herbie krzyż i podkowę, a to dlatego, że mieli pierwsi wynaleźć podkowy i tym wynalazkiem przyczynili się do powszechnego dobra rycerstwa ówczesnego.

Przeszedłszy przez murowane gradusy, wchodziło się do dużej komnaty, w której przy samych drzwiach była kropielnica z wodą święconą, wyobrażająca krucyfiks na Golgocie. Z tej komnaty prowadziły drzwi

na prawo do wielkiej, makatami ozdobionej sali, w której podejmowano gości znakomitych, a na lewo była tak zwana szara komnata, w której zgromadzała się zazwyczaj cała Boleszczyckich rodzina. A że pan Jędrzej właśnie coś na nogi zaniemógł, a ciepło z kominka dobrze mu robiło, więc nie podjął nas, jak to miał zwyczaj, w sali makatowej, ale zaprosił do owej szarej komnaty, dając nam miejsce w swoim kółku rodzinnem.

Nigdy nie zapomnę tego wrażenia, jakie wówczas zaznałem na widok tego naszego, staropolskiego kółka rodzinnego! Choć to jejmość moja, którą rodzi JMPani starościna Przemyska, strasznie na to nosem kręciła, że jej nie podjęto w sali makatowej, a nawet wróciwszy do domu, przez całe trzy dni Boleszczyckim tego darować nie mogła, mimo to do dziś dnia niczego innego nie pragnę, jak tylko tego, abym po najdłuższe lata miał taki sam ciepły kącik koło ojczyściego kominka, wśród tak licznej a powolnej rodziny, jak to u JMPana Jędrzeja w Boleszczykach w tym dniu widziałem. I sam nie wiem, dlaczego to właśnie w onym dniu ten widok kółka rodzinnego w Boleszczykach tak szczególne na mnie zrobił wrażenie. Zapewne przeczuwała dusza moja, że nigdy nie znam tej rozkoszy, która napawa serce na widok swego kółka rodzinnego. Bo w kole rodzinnem to jakoś i serce cieplejsze, i człowiek staje się lepszym, i świat nie taki zły, jak to wydaje się człowiekowi osamotnionemu, którego wszystko gniewa i dręczy.



Tak to w on dzień myślałem sobie, siedząc koło JMPana Jędrzeja, i nie zważałem nawet, że pan Sylwan, jak go tam z pogańska nazywano, drugi z kolei syn pana Jędrzeja, wysokie, wąsate ułanisko z pułku Działyńskiego, przysiadł się do mojej Basi i cały wieczór ją bawił, co mi potem w mojem pożyciu domowem niemało kłopotu sprawiło. Ale że to człowiek zwykły o złem zapominać, a tylko dobre pamiętać, toż i ja nie będę tutaj pisał o panu Sylwanie, który odtąd prawie codziennie w moim domu bywał, a gdym był w wielkiem nieszczęściu, to mi pomocy odmówił i jakby mnie nie znał, uciekł odemnie. Ale to zachowanie się pana Sylwana dowodzi tylko, że już wówczas w tem staropolskiem kółku rodzinnem rozgościł się duch niedobry, który wkrótce potem, rozerwawszy węzły rodziny, poprowadził nas na różne bezdroża. Bo jakże to może się dobrze dziać w narodzie, jeżeli przy ognisku domowem nie można skupić rodziny, a jeżeli i spędzisz ją razem, to siedząc obok siebie, każdy patrzy zezem. Wszak z rodzin składa się naród, kółko rodzinne jest to ogniwo tego wielkiego łańcucha, a gdy to ogniwo nie jest spojone miłością i cnotą, jakież tam łańcuch będzie?...

Ale wracam do Boleszczyc. Na dużem krześle najbliżej kominka siedział pan Jędrzej, Naprzeciw niego pani Jędrzejowa, staruszka bardzo gadatliwa, urodzona z Łąckich. Przy niej siedział Kajetan, najstarszy syn, głowa nie zbyt tęga, ale za to chłopisko

co się zowie, jakby zrodzony do sochy i ekonomskiego batoga. Nie wiele zjadł on książek, to też nie mówił o niczem innem, jak tylko o tem, gdzie siać jęczmień, a gdzie pszenicę. Cały boży dzień wałęsał się po polu, krzyczał i hałasował jakby sultan jaki, ale gdy nadeszła *hora canonica* i trzeba było zasiąść w „kółku rodzinnem“, to taki był cichy i pokorny, jakby i trzech zliczyć nie umiał. Tutaj kończyło się jego państwo i królestwo.

O Sylwanie już wspomniałem. Usiadł on obok mojej żony, a chociaż moja żona późno w noc pawiła mi o nim i nie mogła dosyć nachwalić się jego erudycyi i konceptu, ja jednak moim prostym rozumem odgadłem, że to było chłopczysko do niczego, pędziwiatr i wielki niestatek, jak to się później okazało. Nawet i pułk Działyńskiego porzucił, utrzymując, że ma prawą rękę złamaną, a przecież tej ręki wcale dobrze używał, jak to sam na własne oczy widziałem, gdy z moją Basią tańczył i jak wrzeczono z nią się wykręcał. Miał jednak dobre serce, tylko że długo w swoich dobrych afektach nie wytrwał.

Pan Amilkar, trzeci z kolei syn JWPana Jędrzeja, wyrostek udatnej postaci, siadł sobie w samym kącie, tak, że go ojciec nie mógł widzieć. Spostrzegłem, że zbyt często patrzył w duże zwierciadło na przeciwnej ścianie, w którym mógł się cały od stóp do głowy widzieć. Snać go to mocno bawiło, bo przekładał nogę na nogę, podnosił to jedno, to drugie ramię, marszczył



czoło i co chwila podgartywał czupryne, którą miał z francuska utrefioną. Na jego młodej twarzy było już wiele dumy i pańskości i widać było, że myślą latał gdzieś daleko po nad ognisko domowe, i że tylko surowy wzrok rodzica trzymał go w tem staropolskiem „kółku rodzinnem“. I miałem słuszność, bo gdy tego oka rodzicielskiego nie stało, to furknął ptaszek do cudzych bogów... ale o tem później.

Czwarty syn państwa Boleszczyckich nazywał się Makary. Biedny chłopiec musiał się aż z greckiej gramatyki dowiedzieć, że Makary znaczy tyle, co szczęśliwy. Był garbaty, ospowaty, a do tego miał jedną nogę krótszą. Książd Ignacy napędzał go od dziecka do książek, utrzymując, że z niego może być tylko uczony. Jakoż zgadł książd Ignacy swoim wysokim rozumem, bo Makary grzebał w książkach po same okcie, a pani Jędrzejowa z trwogą patrzyła na chłopca, mówiąc, że się pewnie nie wychowa, chociaż Makary miał już wtedy lat dwadzieścia kilka. Czytywał on, ak mówili, Woltera ukradkiem, a nawet umiał znaki farmazońskie, ale w „kółku rodzinnem“ tał się z tem wszystkim i był synem najprzywiązańszym.

Tak to powaga rodzicielska panowała nad złym duchem, który zawsze lubił się czepiać młodszego pololenia, ale przy ognisku domowem, nie wziął ten zły duch nigdy góry nad sercem młodem, chociaż i krew młoda wielce mu sprzyjała.

Otóż zapomniałem jeszcze powiedzieć, że do

tego „kółka rodzinnego“ należała panna Pulcherya, siostra JMPana Jędrzeja, pobożna i już wcale niemłoda niewiasta. Umiała ona mówić obcym językiem jak własnym i wesołe melodye grać na klawikordzie. Zajęła się przeto wychowaniem córki państwa Boleszczyckich, panny Anastazyi, która wtedy miała już lat ośmnaście. Była to panna ładna i wcale niegłupia. Dzieje ojczyste umiała na palcach, miała serce miłosierne i ze sługami obchodziła się po ludzku. W kółku bowiem rodzinnem upłynęły jej młode latka, a jak to mówią, czem człowiek za młodu nasiąknie, tem będzie i na starość. A przecież tylko w kole rodzinnem może człowiek ogrzać i serce i duszę, i na drogę żywota wziąć sobie coś z tego ciepła, które tak hojnie tryska z domowego ogniska.

Jeszcze była tam i panna Klara, sierota i wychowanka pani Jędrzejowej, bo jużci żadne staropolskie „kółko rodzinne“ nie obeszło się bez sieroty, o której to dawniej mówiono, że na dom sprowadza błogosławieństwo Boże. I żadna staropolska matrona nie czułaby się szczęśliwą, gdyby jakiejś sierotki sobie nie wyszukała, nie umyła, nie ubrała i do rodziny swojej nie przyłączyła.

Pannę Klarę uważano tu, jakby siostrę panny Anastazyi. Biedna sierota wypłacała się najgorętszem przywiązaniem do tego staropolskiego kółka rodzinnego, w którym nie czuła się więcej sierotą.





Nawet pan Kajetan coś zbyt często rzucał oczkiem na pannę Klarę i rad jej krzeselko podawał, ale braciszek, pan Amilkar, śmiał się z niego, utrzymując, że panna Klara nic więcej niema, jak dwie suknie jedwabne, parę zgrabnych trzewiczków i nosek do góry zadarty.

Był tam także i ksiądz Ignacy, i pan Barłomiej, krewniak domu, a bez fortuny. Teraz dopiero o nim wspominam, ale nie czynię tego, jakobym ich chciał kłaść na ostatnim miejscu, bo ludzi nigdy nie cenię wedle fortuny, ani nawet wedle klejnotu, jeśli sami tego klejnotu nie rozumieją, ale cenię ich wedle dobrych uczynków.

I jak już mówiłem, w tem staropolskiem „kółku rodzinnem“ tak mi się dobrze zrobiło, żem nawet zapomniał w tej chwili o moim frasunku, jaki mnie napadł od dnia wczorajszego, w którym moja Basia po raz pierwszy tak dziwnie do mnie się rozśmiała.

Ksiądz Ignacy kończył właśnie opowiadanie o cudzych krajach, o których był wczoraj wyczytał wiele rzeczy ciekawych, pan Jędrzej jeszcze to i owo z własnego doświadczenia do opowiadania księdza proboszcza dorzucił, a potem zwróciwszy się do mnie, w te ozwał się słowa:

— Zawsze miałem afekt do rodzica waszmości, panie Michale, a zatem wierzę, że mimo młodej żonki, nie zechcesz zapomnieć o życzliwym ci sąsiedzie. Jestem stary, mocno stary, a jakkolwiek

w kole rodzinnem czuję się szczęśliwym, jednak po tem, czem w życiu już byłem, nie wystarcza mi to szczupłe kółko samych moich. Żyłem ja w czasach, kiedy to nas więcej razem się zbierało, a gdzieśmy nieraz wszyscy byli jednej myśli i jednego serca, jakby rodzina. Dzisiaj zostało nam tylko to szczupłe „kółko rodzinne“, jak jedna kropla wody z szerokiego morza. A chociaż w tej jednej kropli to samo widzieć można, co i w morzu, to przecież cieplej koło serca, kiedy to kilka takich kółek razem się zbierze w zgodzie i miłości. Wszak my, jako sąsiedzi, tworzymy także „kółko rodzinne“, a niechaj nam tego kółka źli ludzie nie rozrywają.

To powiedziawszy, spojrzął pan Jędrzej na portret w czarnych ramach, który tuż przed nim wisiał na ścianie i wyobrażał chudego z długą twarzą mężczyznę w żółtym kontuszu. Widząc to, pani Jędrzejowa chciała zapewne małżonka od jakichś niedobrych wspomnień oderwać, bo rozpoczęła jakąś inną rozmowę. Pan Jędrzej jednak wcale na nią nie zważał, tylko utopił oczy w tym konterfekcie, jakby wzrokiem swoim chciał go przebić.

Mimo, że pan Sylwan coś bardzo do mojej żony się przysuwał, zebrała mnie jednak ciekawość przypatrzeć się bliżej temu konterfektowi. Ciekawość moja doszła do najwyższego stopnia, kiedy pan Jędrzej, który ciągle w konterfekt miał oczy wlepione, nagle pobrał i ręką twarz sobie zasłonił.



Konterfekt na ścianie wyobrażał mężczyznę z długim nosem i podgołą nieco pałą. Miał wąsy w dół spuszczone, ale w oczach i koło ust było coś tak przykrego, że tak powiem, szatańskiego, że w samej rzeczy można było zblednąć od jakiegoś niemiłego uczucia. Do tego jeszcze szare światło i odbłask z dużego zwierciadła sprawiały, że ta twarz szydercza zdawała się ożywioną; tylko usta otworzyć i przemówić. Ale oraz jakiś strach brał człowieka na to, coby ten konterfekt mógł wymówić, bo zdawało się, że jakieś okropne złowieszcze słowo drgało na tych ustach, złośliwie zakąszonych.

To też i mnie zrobiło się kliwi i byłbym może tak samo zbladł, jak pan Jędrzej, gdybym sobie w samą porę nie przypomniał mojej żonki i pana Sylwana, którzy jak na pierwsze poznanie, coś za wiele z sobą rozmawiali. Ale pomyślawszy sobie potem, że pan Sylwan to człowiek bywały i o wielu rzeczach mówić może, spojrzałem znów na ów fatalny konterfekt i na pana Jędrzeja.

Pan Jędrzej wyglądał jak nieżywy. Twarz miał ręką zasłonioną, a wszyscy milczeli, prócz pana Sylwana, który, wydało mi się, prócz mojej żony, nic około siebie nie widział.

Wkrótce ocknął się pan Jędrzej, a wstydząc się, że przedemną zdradził się z jakąś ukrytą boleścią, która serce jego toczyła, chciał być wesółym i począł nawet krotchwile opowiadać. Ale wszystko to

jakoś mu się nie kleiło, bo od czasu do czasu zerkał na konterfekt, który coraz więcej się ożywał i groził p. Jędrzejowi jakimś okropnem, złowrogim słowem.

Po chwili wstał z krzesła, a że już był wieczór i koło wieczerzy się krzątano, więc zaprosił nas pan Jędrzej do drugiej izby, w której zwykle stół zastawiano. Było widocznem, że pan Jędrzej chciał się pozbyć widoku tego szczególnego konterfektu.

Przy wieczerzy taka zerwała się burza, tak gęsto były pioruny, że choć to do mnie zaledwo miłe liczyć można, pan Jędrzej jednak jak najuprzejmiej nas obligował, abyśmy w Boleszczycach zanocewali, na co także przystałem, nie przeczuwając wcale, że dzisiejszej nocy obaczę rzeczy, które na całe życie w pamięci mi zostaną.

---



## II.

**Siciński.**

Na dworze szalała burza tak okropna, że przy wieczerzy świece gasły na stole, a psy i koty pozłaziły się do izby i tuliły się do nóg naszych. Mówiono o różnych rzeczach i kilkakrotnie próbowano weselszej konwersacyi, ale że to człowiek zawsze z naturą sympatyzuje, toż trudno było opowiadać krotchwile, gdy ręka Wszehmocnego jakoby w gniewie rzucała ogień na ziemię. Nawet pan Sylwan, który, mówiąc nawiasem, podczas wieczerzy siedział przy mojej żonie, przestał jej mówić do ucha i oboje wyglądali jakoś tak zamyśleni, jakby im kto podał jaką szaradę do rozwiązania.

Pan Jędrzej w końcu zupełnie umilkł i na twarzy znacznie przybladł. Widać było, że go coś mocno niepokoiło, za każdym uderzeniem okiennicy obracał się do okna, jakby się czegoś obawiał. A gdy służba półmiski ze stołu zbierać zaczęła, obrócił się pan Jędrzej do żony i dosyć głośno zawołał:

— Jutro świętego Floryana.

— A tak, czwartego maja — odpowiedziała pani Jędrzejowa i z jakąś obawą spojrzała na męża.

Wydało mi się, że św. Floryan coś niedobrego miał tej rodzinie zwiastować, bo wszyscy zwrócili oczy na pana Jędrzeja, a potem po sobie spojrzeli i widocznie posmutnieli. Poczem ozwał się znów do żony pan Jędrzej:

— Każ, moje serce, zanieść wieczerzę do szarej izby i kilka świec przygotować. Pawełek niech ogień roznieci na kominku i przygotowuje suchych drew. Zresztą zrób tak samo, jak tamtego roku.

Zrazu myślałem, że te przygotowania dzieją się dla nas, bo wiedziałem, że cała rodzina przepędza zawsze wieczorek w tej samej izbie przy kominku. Był to już u nas taki zwyczaj z dawien dawna, i jak tylko na dworze trochę pochlodziło, choćby i wśród lata, zaraz rozniecano ogień na kominku. To też gdyśmy wstali od stołu, zaraz zwróciłem się do owej szarej komnaty, aby napowrót zajmą dawne miejsce i jeszcze raz popatrzeć się na ów konterfekt zagadkowy, ale pan Jędrzej ułapił mnie za poię i rzekł smutnym głosem:

— Nie tam, panie Michale, proszę na prawo. Jest to jedyny dzień w roku, w którym nie mogę z moją rodziną przepędzić wieczora u domowego ogniska. Wejdzmy do sali makatowej.

Jakoś chłodno zrobiło mi się, gdyśmy weszli do sali. Moja żona zarumieniła się wprawdzie i zrzuci-



ła rańtuch, jakby jej tu goręcej było, a zbliżywszy się do mnie, szepnęła mi do ucha:

— Przecież Boleszczyccy przyszli po rozum do głowy, gdzie kogo przyjąć należy.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo mi wśród tych błyskotek i fraszek modnych jakoś tęskno było za tym kominkiem pradziadowskim, za temi szaremi ścianami i za tem ciepłem „kółka rodzinnego,“ które tam się skupiało, a tu w pysznym salonie, gdzieś daleko od siebie się rozbiegło. Nawet pan Sylwan oddalił się od mojej żony i stanął w dużym oknie, przypatrując się burzy i błyskawicom.

To też i sercom nie stało tu ciepła i język jakoś stwardniał, że nie można było kilku słów skleić do kupy. Napróżno próbowała panna Pulcherya rozweselić nas jakąś wesołą melodią, którą zaczęła grać na klawikordzie, napróżno pan Sylwan przy wtórze klawikordu chciał jakąś ułańską piosneczkę do czarnych oczek zaśpiewać; prócz mojej żony, która przypadkiem takie same czarne oczy miała, nikt jakoś nie słuchał miłosnych treli pana Sylwana.

Widząc wreszcie, żeśmy nie bardzo na rękę gospodarzowi, odprowadziłem żonę moją od klawikordu i szepnąłem jej do ucha, że czas, abyśmy udali się na spoczynek. Moja żona nie była jednak tego zdania i kto wie, jak długo byłaby słuchała śpiewek ułańskich, gdyby gospodarz nie był mnie wziął za słowo, mówiąc, że już do spoczynku wszystko dla

nas przygotowane. A że moja żona w takim razie fraucymeru potrzebowała, oddałem więc ją opiece pana Boga i pani Jędrzejowej, a sam, pożegnawszy się ze wszystkimi, udałem się do izdebki, którą dla mnie pan Jędrzej przeznaczył.

Jest to już w naturze człowieka, że nadzwyczajne zjawiska nieba i ziemi sprowadzają go na jakieś dziwne, niezwykle myśli. W on czas radzi wierzymy w siły nadprzyrodzone, a każdy ciemny kącik napelniamy żyjącymi istotami. To też kiedy po niebie krzyżowały się pioruny, kiedy wichurki tłukły okiennicą o mur i żałośnie wyl w konarach starych lip, przyszedł mi znów na myśl ów konterfekt w czarnych ramach i ta szara komnata, w której dzisiaj nie mogło się zebrać kółko rodzinne. I wziął mnie strach jakiś, jakiego dotąd nie zaznałem, i zacząłem się po mojej izdebce rozglądać.

Izdebka była mała, jak cela klasztorna. Zdawało mi się, że niegdyś służyła ona za przedsionek do kuchni, z którego podawano potrawy do izby jadalnej. Nawet w jednej ścianie była zasuwka, którą zasłanianio małe okienko. Wprawdzie zalepiono to wszystko wapnem przy bieleniu i widać było, że tej komunikacyi nikt dzisiaj nie używał, zaledwo jednak rękę do tej zasuwki przyłożyłem, odsunęła się tak gładko, jakby dopiero przed chwilą był kto ją zasunął. I okazało się, że to okienko wychodziło do owej szarej komnaty, a nawet można było przez nie patrzeć wprost na ów konterfekt w czarnych ramach.



Strach mnie zdjął jeszcze większy, gdym to odkrycie zrobił, że sąsiaduję z szarą komnatą, w której przed chwilą tak dobrze mi było, a w której teraz przygotowywało się coś niedobrego.

Ogień jasny płonął na kominku, ale jakoś nie ciepłym wydawał mi się jego płomień. I nie dziw, bo wtedy siedziałem w kole rodzinnem, a teraz patrzyłem zdala, jak jaki obcy... Na stole stało kilka półmisek z przekąską, a nawet i butelka czerniła się za nimi. Ale w komnacie nie było nikogo, tylko jakiś wiatr niedobry ciągnął od kominka i dmuchał na świecę, która stała tuż pod konterfektem. Zielona szydercza twarz konterfektu uśmiechała się złośliwie, patrząc na zastawione półmiski i czekając gościa, dla którego to wszystko było przeznaczone.

Aby dziwnymi domysłami i imaginacyi nie rozpałać i snu sobie nie popsuć, zasunąłem okienko, a odmówiwszy „Pod Twoją obronę“, zacząłem się już rozbierać, gdy się z wolna drzwi mojej izdebki otworzyły, a z nocną lampką w ręku wszedł do mnie pan Jędrzej.

Duch we mnie wstąpił, gdym go zobaczył, bo mówiąc prawdę, coś strasznie poczał szwankować mój animusz. Nie posiadam ja bowiem owej mądrej nauki, która powiada, że niczego niema się lękać na świecie i że to, co się dzieje, można wszystko cyframi obliczyć i przepowiedzieć. Mnie wychowano w dawnej naszej wierze, że wszystko dzie-

je się z woli Wszzechmocnego, któremu służą niebo i ziemia. A że to człowiek nigdy nie jest bez grzechu, toż zawsze czuje bojaźń, gdy wśród nocy na ognistym niebie odsłoni się ręka karzącego Sędziego. Dlatego rad byłem panu Jędrzejowi i serdecznie za rękę go ścisnąłem.

Pan Jędrzej miał zimną rękę, a na twarzy wyglądał tak blady i jakoś zmartwiony, że zaraz na wstępie rzekłem do niego:

— Jmpanie Jędrzeju! Rodzic mój opowiadał mi wiele dobrego o waszej prawości, a chociaż za młody jestem i jeszcze w tych stronach nowicyuszem, to przecież nie weźmiecie mi za złe, jeśli waszmości o coś zapytam. Wszak między sąsiadami powinna być ta sama miłość, co i w kole rodzinnem.

Surowa twarz pana Jędrzeja rozjaśniła się, a nie dawszy mi dokończyć, zawołał:

— Dotknąłeś najboleśniejszej strony mego serca, panie Michale, ale zaraz cieszę się z tego, że poznaję w tobie człowieka, który wie, czego nam dzisiaj przedewszystkiem potrzeba. Oto miłości i zgody rodzinnej. Dopóty wiodło nam się dobrze, dopóki szliśmy drogą miłości i zgody, a gdy nas zaczęto dzielić na chorągwie i obozy, straciliśmy kredyt u całego świata, a dom nasz runął nad nami.

Pan Jędrzej przestał na chwilę, a przetarłszy oczy, mówił dalej:

— Nie może się dobrze dziać w narodzie, jeśli



w rodzinnem kółku nie masz zgody i jedności. A czemuże u nas rodzina dzisiaj? Pożal się Boże! Dzieci oddajemy obcym piastunkom i zamykamy sę przed niemi, aby się naszym żywotem nie gorszyły! Któż im da przykład cnót i ofiar?

Uczułem prawdę tych słów, które pan Jędrzej z wielką wymową boleścią, a chociaż w późniejszym życiu nie udało mi się tej prawdy do mojej rodziny zastosować, w samotnych jednak godzinach marzyłem zawsze o tem naszym staropolskiem „kółku rodzinnem”, z którego tyle naszych wielkich mężów wyszło. Otóż wzięwszy pana Jędrzeja za rękę, rzekłem:

— Między pszenicą i chwast się pleni, a choć tu i owdzie niema dzisiaj rodzin przykładnych, toż przecie wiedzą wszyscy sąsiedzi, że u waszmości kwitnie w rodzinie dawny rygor i posłuszeństwo.

— Dobrzeć wasze powiedział — podjął szybko pan Jędrzej — tylko rygor i posłuszeństwo, a nic więcej.

— Jakto, a miłości i zgody niema? — zapytałem zdziwiony.

Pan Jędrzej machnął ręką i rzekł po chwili:

— Jestem już mocno stary. Mnie dziś, jutro, a przecie chciałbym spokojnie położyć się w grobie. Ze wszystkich moich sąsiadów upodobałem sobie waszmości najlepiej, bo widzę, że dawny, poczciwy duch ożywia cię. Chciałbym dlatego połączyć waszmości

bliżej z moją rodziną, abyś był jej radą i pomocą, gdy mnie nie stanie.

Podziękowałem staruszkowi za takie zaufanie, a on mówił dalej:

— Widziałeś całą moją rodzinę przy ognisku domowem i zdawało ci się, że w niej panuje zgoda i jedność. Gdzietam! Wprawdzie na pozór wszyscy są dla siebie wylani, ale oko ojca zagląda w przyszłość! Panie Michale, to kółko rodzinne rozprysnie się na tyle kawałków, ile głów dzisiaj liczy!

Przypomniałem sobie moje spostrzeżenia w szarej komnacie i chciałem właśnie mówić coś o synach pana Jędrzeja, gdy tenże przerwał, mówiąc:

— Nie myśl, żeby wychowanie lub charakter którego z dzieci moich były powodem mojej obawy. Jest to już w rodzie naszym, że Boleszczyccy w ciągłej są niezgodzie i tylko mnożą akta sądowe. Dlatego to trzymam całą moją rodzinę w kupie przy ognisku domowem, w nadziei, że tym sposobem zniknie z pomiędzy nich duch rodu, duch niezgody.

— Duch rodu? — powtórzyłem z ciekawością.

— Tak jest, zły duch rodu — mówił dalej pan Jędrzej — który błąka się po komnatach rodziny Boleszczyckich i rozrywa koło rodzinne!

Pan Jędrzej spoczął tutaj, bo jakoś bolesnem mu było wspomnienie tego złego ducha. Po chwili mówił znów:



— Widziałeś zapewne w szarej komnacie konterfekt w czarnych ramach.

Odsłoniłem ucho, bo mnie straszna wzięła ciekawość, i mimowolnie spojrzałem na okienko do szarej komnaty.

— Jest to konterfekt jednego z przodków moich po kądzieli — mówił zwolna pan Jędrzej.

— Ten szlachcic w złotym kontuszu...

— Jest Siciński.

— Jakto, ten poseł upitski? — krzyknąłem i porwałem się na nogi.

— Ten sam — odparł smutno pan Jędrzej — moja babka była z domu Sicińska.

Zamknąłem oczy, bo nagle przedemną stanął ów nieszczęsny konterfekt, wyobrażający człowieka, który tyle nieszczęść na nas sprowadził, a którego słusznie po dziś dzień zowią ojcem niezgody.

— I dlaczego on tam wisi przy ognisku domowym? — zapytałem.

— Trudna rada — odparł pan Jędrzej — są rzeczy, których nie dociec naszym rozumem. Mój dziad przez niezgody domowe stracił był Boleszczyce. Ojciec mój wrócił znów do nich, wykupiwszy je od krewnych babki mojej. Wtedy to kazał ten konterfekt wyrzucić z szarej komnaty. Ale zaraz umarł mój najstarszy brat, potem umarł drugi i trzeci. Ojciec używał różnych sposobów, radził się doktorów i znachorów. Aż razu jednego przyśnił mu się Si-

ciński, wyrzucał mu, że tak źle z nim się obszedł i zagroził, że cała rodzina do szczętu wymrze, jeśli mu odmówią dawnego miejsca w kółku rodzinnem. Wtedy to kazał go ojciec oprawić w grube, dębowe ramy, które w mur wpuszczono i czterema gwóździami, które aż na drugą stronę ściany sięgały, przymocowano. Odtąd nie umiera nikt w naszej rodzinie, ale zły duch rodu patrzy na nią, gdy się zbiera u domowego ogniska, i zażęga w niej przyszlą niezgodę.

Widząc pan Jędrzej, że na te słowa jego mocno posmutniałem, wziął mnie za rękę, uściśnął i mówił dalej:

— Tak jest, duch Sicińskiego błąka się w rodzinie Boleszczyckich, błąka się po dworach i podsyca nasze nieczne namiętności. Już dzisiaj nie mamy nawet wyobrażenia, co to jest dobro powszechne, bo każdy tylko o sobie myśli, co by zjadł i wypił i jakby to nad innych mógł się wywyższyć.

Tutaj drzwi zaskrzypiały. Pan Jędrzej słuchał czas niejaki, a westchnąwszy głęboko, wziął lampkę, powiedział mi dobranoc i nie dokończywszy rozmowy, odszedł odemnie.

W dziwne usposobienie wprawiła mnie ta nocna wizyta pana Jędrzeja i jeszcze dobrze tego wszystkiego, co mi mówił, w głowie nie uporządkowałem, gdy w szarej komnacie usłyszałem jakieś kroki i suwanie krzesel. Zrazu myślałem, że to pan Jędrzej poszedł tam zajrzeć, a gdy sobie przypominałem,



o czym przy wieczerzy mówiono, wielka zebrała mnie ciekawość zobaczyć, co się to dzieje w szarej komnacie.

Przystąpiłem ostrożnie do owej zasuwki, przyłożyłem ucho — było cicho, jak w grobie. I pewny, że tam nikogo niema, odsłoniłem okienko. Ale ktoś opisał moje zadziwienie, gdy w dużym krześle przy łominku zobaczyłem — Sicińskiego! Siedział rozebrany i grzał się przy ogniu. Na drugim krześle leżała przemokła odzież jego. Wyglądał znużony, jakby z dalekiej przyjechał drogi. W komnacie nie było więcej nikogo.

Zrazu myślałem, że poseł upitski w samej rzeczy wydobyl się z czarnych ram konterfektu, aby choć raz w rok ogrzać się przy ognisku domowym i spróbować tego ciepła, które łączy kółko rodzinne w zgodzie i wzajemnej miłości. A może była w tem ręka sprawiedliwego Boga, który złych ludzi karze czasem uczuciem szlachetnym. Niema bowiem nic boleśniejszego dla duszy zepsutej, jak wspomnienie kilku chwil, w których doznała czystego wzruszenia. Bo też dziwnem wydało mi się, dlaczego ś. p. poseł upitski tak natarczywie pragnął od Boleszczyckiego kącika przy tem ognisku domowym, do którego rzucił zarzewie tyłu kłótni i niezgód? Mnie się zdaje, że pokutujący duch Sicińskiego za karę wymówił sobie to miejsce w kółku rodzinnym, aby, patrząc na zgodę i miłość rodzin naszych.

Tak sobie w pierwszym moim przestachu myślałem. Wierzę bowiem, że jest nad nami ręka sprawiedliwego Sędziego, którego wyroki niezbadane są dla nas.

Spojrzałem jeszcze raz na siedzącego przy łominku Sicińskiego. Był on jak dwie krople wody podobny do konterfektu ś. p. posła upitskiego, który dziwnym sposobem został w czarnych swoich ramach. Wydał mi się jednak nieco bledszym i więcej ponurym. Zrazu nawet tak mi wyglądał, jakby był tylko cieniem siedzącego na krześle.

Odmówiłem w duchu „Pod Twoją Obronę“ i słubowałem sobie postawić figurę na granicy gruntów Boleszczyckich, aby wierni za duszę nieboszczyka mogli westchnąć do Boga. I właśnie jeszcze to i owo po głowie mi chodziło, gdy Siciński wstał z krzesła, a chodząc po komnacie, tak głośno stukał po podłodze, jak każdy inny śmiertelny, który na wiosenne nasze błota zaopatrzył się w grube buty.

Już mnie to trochę zbiło z konceptu, bo trudnoż wierzyć, aby nieboszczyk tak był przezorny i wybierając się z tamtego świata, wziął z sobą odpowiednią garderobę. Zresztą każdy duch ma być tylko cieniem zmarłego. Moja nieboszczka babka, Rokicka z domu, przeszła w dzień Zaduszny przez cały legion nieboszczyków, żadnego nie doznawszy oporu. Czuli tylko, że lekki wietrzyk szeleścił jej szatą. Otóż zacząłem bliżej przypatrywać się mniemanemu Sicińskiemu.



I w samej rzeczy coraz bardziej zacząłem powątpiewać o istotnem zjawieniu się ś. p. posła upitskiego.

Nadzwyczajne jednak podobieństwo było między konterfektem a owym zagadkowym człowiekiem. Ta sama twarz, napojona żółcią i wykrzywiona uśmiechem szyderskim. Te same błędne, niestałe oczy, które wiecznie czegoś szukały. Czoło zachmurzone i brwi ściągnięte okazywały, że tam wewnątrz mieszka ból i zgryzota, które wykrzywiają usta do szatańskiego uśmiechu. Ubiorem tylko różnili się od siebie. Na konterfencie był złoty kontusz i biały żupan, a ów gość zagadkowy miał na sobie jakąś szarą kurtek i buty wyżej kolan. Na krześle leżał ciemny płaszcz, z którego strumieniem sączyła się woda.

Widząc to wszystko, przyszedłem do tego przekonania, że Siciński w czarnych ramach, a gość chodzący po komnacie mogą być dwa różne indywidualia, a może nawet obaj nic o sobie nie wiedzą. Zagadką jednak dla mnie było, z kąd to uderzające podobieństwo na ich twarzach i dlaczego pan Jędrzej tak dziwnie i z taką bojaźnią podejmował swego gościa. Miał to być jakaś tajemnica domowa? A może było to znanem w całej okolicy, tylko ja, nowicjusz w tych stronach, o tem nic nie wiedziałem. Wprawdzie od śmierci mego ojca, a było to już wtedy lat piętnaście, nie byłem w moim majątku, bo człowiek po szerokim świecie gonił za jakąś lepszą nadzieją, ale przecież ten i ów byłby mi coś o tym zaklętym duchu powie-

dział, gdyby w samej rzeczy miał w Boleszczycach rezydować.

Tak myśląc sobie, zasunąłem okienko i całą tę sprawę ze ś. p. posłem upitskim, czy raczej z udatną jego kopią, odłożyłem do jutra. I już myślałem o wygodnej pierzynie, gdy nagle drzwi do szarej komnaty zaskrzypiały i wyraźnie zasłyszałem głos pana Jędrzeja.

Jakkolwiek teraz wielka zbierała mnie ciekawość okienko odsunąć i do szarej komnaty popatrzeć, uważając jednak podobne wściubianie nosa w cudze sprawy za niegodne człowieka poczciwego, wziąłem Złoty Oltarzyk, który zawsze mam w kieszeni, i zacząłem szukać w rubryceli św. Patronki mojej żony, aby w tym dniu uczynić jej jaką niespodziankę. I chociaż cały zajęty byłem czytaniem imion świętych, mimo mej woli musiałem jednak słuchać rozmowy, którą pan Jędrzej ze swoim gościem prowadził.

Ledwo pan Jędrzej drzwi za sobą był zamknął, zawołał nieznajomy szorstkim głosem:

— Kto i czego?

— Jestem tu gospodarzem — zaczął pan Jędrzej.

— Wszak wiesz, że ja ciebie tu nie uznaję — przerwał mu szybko nieznajomy.

— Czas-by już był, panie Krzysztofie — mówił dalej pan Jędrzej — abyś we mnie uznał gospodarza i życzliwego ci brata.

— Brata? — krzyknął z szyderskim śmiechem nieznajomy — mówisz brata?... ha, ha, ha! Ja brata?...



Człowieku — rzekł po chwili i słyhać było, że kilka kroków naprzód postąpił—słuchaj, człowieku! Na całym świecie, na ziemi i na morzu, na żadnej z tych miliona gwiazd, które tam świecą, nie ma istoty, któraby mi bratem była! ha, ha, ha! Wszak ja sam jeden na świecie, jak palec, tylko w tym dniu...

— Już dosyć tego, Krzysztofie — przerwał pan Jędrzej błagającym głosem.

Snać niemiło uderzył o serce nieznanego ten głos poczciwego staruszka, bo jakoś opryskliwie w tył odskoczył i zawołał:

— Idź precz!

— Tyś przeklął moją rodzinę! — mówił dalej z boleścią pan Jędrzej.

— A tyś mi przysiągł, że w tym dniu raz do roku pozwolisz mi samemu przepędzić noc przy tym kominku, przy którym siedział nieboszczyk mój ojciec. Zejdź mi z oczu!

— Krzysztofie!—zawołał pan Jędrzej z wielkiem wzruszeniem.—Tyś w szale namiętności wyrzekł przekleństwo, a ono ciąży na mojej rodzinie. W spokojne kółko rodzinne rzuciłeś jad niezgody i przychodzisz co roku, aby z szyderstwem na ustach usiąść na chwilę przy tem samem ognisku domowem, koło którego zbiera się moja rodzina. Krzysztofie, uznaj, żeś źle uczynił, a rodzina moja przyjmie cię jak brata. I będziesz razem z nią siedział przy tym samym kominku, do którego przecież choć raz do roku wzdychasz.

Okropny, przerażający śmiech rozległ się po ścianach komnaty. Mówią, że ze śmiechu można poznać duszę człowieka. Zaiste, brzydka musiała być dusza tego szczególnego człowieka, bo też śmiech jego rozdzierał serce.

— I ty prawisz mi dzisiaj sentymenta—zawołał, śmiejąc się eiągle—dzisiaj mówisz do mnie jak baranek, a przecież twój ojciec wydarł nam nasze gniazdo rodzinne, a moja rodzina rozeszła się w świat, jak rój bez matki!... Proszę cię, odejdz i zostaw mnie samego. Wszak taki był układ między nami!

— I dotrzymałem go dotąd.

— Dlaczegoż dzisiaj łamiesz nasz układ?

— Bo czuję się starym, mocno starym. Schożąc do grobu, chciałbym pokój i zgodę nad sobą zostawić.

Tu nastąpiła w rozmowie długa pauza. Serce mi biło głośno. pragnąłem całą duszą, aby ci, jak się zdawało, nieprzyjaźni ludzie, podali sobie rękę i w jedną złączyli się rodzinę. Nawet samo niebo sprzyjało tej myśli. I jakby w wielkiem było oczekiwaniu, ucichło w tej chwili, a na ziemię skrzeplą wyjrzało kilka gwiazd bożych, aby zbląkanym pielgrzymom prawe drogi oświecić. Czarne chmury rozsuwały się zwolna, nawet szalony wichur stanął śród drogi, aby nie mieszać tej świętej ciszy, w której zwyki Bóg przemawiać do serca człowieka.

Z całą naturą i ja wstrzymałem oddech i z wiel-



kiem upragnieniem czekałem pierwszego słowa zgody. Ale smać zły duch znów zwyciężył, bo nieznajomy ozwał się szorstkim głosem:

— Ty chcesz zgody, oj wiem ja dobrze, o co wam chodzi!

I rozśmiał się znów tak przeraźliwie, iż mógłbym przysięgnąć, że to nie był śmiech ludzki, ale istny śmiech szatana. Jakoż i niebo usłyszało śmiech ten i zasępiło się w tej chwili. Czarna, złowroga chmura zasłoniła boże gwiazdy, wichur uderzył w konary lip starych, a nagle błyskawica rozlała po ziemi jakieś światło piekielne.

— Ty chcesz zgody — mówił dalej nieznajomy — chcesz mi dać kawałek łaskawego chleba przy twoim kominku a tymczasem pragniecie śmierci mojej, bo Złota Góra przypadła wam do smaku.

— Krzysztofie — przerwał mu skwapliwie pan Jędrzej — nie obrażaj poczciwego serca, które ci jest tak rade, jak bratu!

— O! znam ja to wasze dzisiejsze braterstwo! — odfuknął nieznajomy — ha, ha, ha! Braterstwo w dzisiejszych czasach! To słowo „braterstwo“ stało się dzisiaj spekulacją, artykułem handlu i frymarki i nic więcej... Słuchaj, Jędrzeju, gdybyś otwarcie mi powiedział: Oto chcę twojej Złotej Góry, która ma wyborny grunt żytnej, ma lasy zasobne i łąki nieszpętne, tobym pomyślał sobie: Ten człowiek jest niegodziwy, ale przynajmniej nie bierze maski oblu-

dnej, gdy mówi. Nacóż naturę ludzką podnosić do czegoś, czem ona nie jest i nigdy nie była?

— Ubolewam, Krzysztofie, nad sercem twojem, które dziwnym sposobem tak zziębniało, że już dzisiaj w nic nie wierzy! Rozpatrz się między ludźmi, a przekonasz się, że wyrządzasz im wielką krzywdę!

Znów rozśmiał się nieznajomy, aż ściany zadrzały i zaczął się po komnacie przechodzić. Smać dobrze wytłumaczył sobie pan Jędrzej to milczenie swego gościa, bo dalej rzecz prowadził:

— Krzysztofie, wiem ja, z kąd ci się wzięła ta choroba serca. Ojciec twój odumarł cię wcześniej, zapłacona piastunka wychowała cię — tyś nie żył „w kółku rodzinnem!“

Nieznajomy stanął nagle, ale nic nie odpowiedział. Pan Jędrzej z coraz większym wzruszeniem mówił dalej:

— Zaledwie skończyłeś nauki w obcym domu, zaraz rozpocząłeś zatargi ze mną, wodziłeś mnie po sądach, zarzucałeś mi nieprawość posiadania Boleszczyc — a przecież mam dokumenta, że mój ojciec...

— Milcz — krzyknął w gorączkowym jakimś uczuciu nieznajomy, milcz, jeśli chcesz, abym szanował ten kącik, który mieści kilka dziecięcych, głupich wspomnień moich!

— Wróć do tych dziecięcych, jak je nazywasz, głupich wspomnień twoich, i od nich rozpocznij żywot nowy — zawołał w zapale pan Jędrzej — a dusza twoja uspokoi się.



— Ja pokoju nie pragnę — odparł nieznajomy, chodząc szybko po komnacie—a jeśli się lękam śmierci to tylko dlatego, że tam w grobie trzeba leżeć spokojnie. Najprzykrzejsze sprawia na mnie wrażenie, gdy ksiądz nad umarłym śpiewa: *Resquiescat in pace!*...

— Otoż to cała choroba twoja — tyś duch wiecznej negacyi. Gdybyś był wielkim człowiekiem w narodzie, mógłbyś w jednej chwili zniszczyć to wszystko, nad czem wieki pracowały!... Mielіśmy takich ludzi w przeszłości naszej i dlatego dzisiaj biada nam!...

Na to rozśmiał się potomek Sicińskiego z jakąś szatańską rozkoszą. Zdawało się, że niezmiernie ucieszył się tem uznaniem swojej potęgi demonicznej i radby nawet patrzył, jak drugi Neron na tunę gorzących zagród ojczystych.

— Już to w narodzie nie mam dzisiaj co robić—zawołał szyderskim głosem—sejmu nie rozpędzę, ale że twoją rodzinę rozpędzę na wszystkie cztery wiatry, tak jak to wtedy ci powiedziałem, gdyś nademną tryumfował wyrokiem sądowym, za to ci ręczę gardłem!

Nastąpiła jakaś pauza złowroga. Pan Jędrzej westchnął, a nieprzyjaciel jego domowy rzucił się na krzesło, aż zatrzeszczało. Obaj milczeli, na kominku pryskał ogień — a na dworze było coraz widniej, coraz więcej wypogadzało się niebo.

Przytłumionym głosem, jakby mówił sam do siebie, ozwał się znów potomek Sicińskiego:

— Boleszczyckich tylko bieda i nieszczęścia sku-

piały przy ognisku domowem. Szczęście i dostatek rozpraszały ich po świecie. Ha, ha, ha! Szczęście i dostatek!... Jędrzeju!—zawołał głośnie, wstając z krzesła—już mi się sprzykrzyła ta wieczna niezgoda, chcę się poprawić!

— Krzysztofie! — krzyknął staruszek.

— Zawołaj świadków.

— Cóż chcesz zrobić?

— Zapisać wam Złotą Górę!

— Jakto, cały swój majątek?

— Wszystko, co mam! — odparł potomek Sicińskiego tak dziwnym głosem, że mi włosy na głowie stanęły, chociaż to miał być uroczysty akt zgody w rodzinie.

Tak dziwne uczucie opanowało serce moje, że otworzyłem okno, aby chłodniejszego zaczerpnąć powietrza. Jakoś duszno było mi w mojej izdebce... Owe zwady domowe przypomniały mi przeszłość naszą, a serce moje zabolalo na to wspomnienie.

I gdy tak właśnie to i owo w głowie rozbieram, słyszę nagle jakąś znaną mi melodyę, a przytem brząkanie na cytrze. Nadstawiłem ucha, słuchałem chwilę i przypomniałem sobie, że to jest melodya tej samej piosenki, którą pan Sylwan śpiewał przy klawikordzie, a którą moja żonka tak wielce się zachwycała.

Coś mnie teraz gwałtem ciągnęło do ogrodu. I tak zasłyszana rozmowa między panem Jędrzejem



i domowym jego nieprzyjacielem jakoś mnie zalterowała, i niebo majowe pięknie wypogodziło się po burzy. Nie chcąc więc dłużej nieproszonym być świadkiem tajemnic domowych, otworzyłem z cicha drzwi izdebki i wymknąłem się długą, lipami ocienioną aleją do ogrodu.

## III.

**Bez rodziny.**

Wszystkie okna dworu Boleszczyckiego, które wychodziły do ogrodu, były jasno oświetlone. Nie było to jeszcze tak późno, bo rodzina rozeszła się dzisiejszego wieczoru wcześniej niż zwykle, a to z powodu owego zagadkowego gościa.

Noc była prześliczna. Chmury zsunęły się na samą krawędź nieba, a księżyc w pełni tak jasno świecił, że można było na sto kroków rozpoznać człowieka. Wiatr ustał zupełnie, tylko krople deszczu spadały z listka na listek i tworzyły jakąś precudną melodyę, przyjemniejszą dla mego serca od ułańskiej śpiewki pana Sylwana, którą tam gdzieś w altanie pod oknem fraucymeru wyśpiewywał. W powietrzu był przyjemny zapach kwiatu, którym okryły się wiśnie, grusze i jabłonie.

Przeszedłem ciemną aleją raz i drugi, odmówiłem trzy razy *Zdrowaś Marya* na intencję zgody rodzinnej moich sąsiadów, gdy nagle w bocznej uliczce zobaczyłem jakieś postacie kobiece. Nie chcąc im prze-



rywać nocnego spaceru, a panu Sylwanowi jego piosnek ułańskich, przeszedłem na drugą stronę ogrodu, na szeroką, piaskiem wysypaną ścieżkę.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — krzyknąłem nagle, spotkawszy się na zakręcie ścieżki z jakąś długą czarną figurą.

— *Laudetur* — odparł ksiądz Ignacy, który właśnie powracał ze dworu do swojej plebanii.

— Ja myślałem, że waszmość już śpisz w najlepsze! — zacząłem rozmowę.

Ksiądz Ignacy ścisnął mnie za rękę i żartobliwym rzekł tonem:

— Kapłan, mości dobrodzieju, i stróż nocny, to jedną chodzą drogą. Jeden pilnuje naszego mienia, a drugi sumienia.

— Toż sumieniom naszym nie grozi tu żadne niebezpieczeństwo — odrzekłem i zamyśliłem się nieco, przypomniawszy sobie szarą komnatę.

— Pokusa do złego zawsze się znajdzie — odparł ksiądz Ignacy tym samym żartobliwym tonem i umilkł na chwilę, aby słuchać melodyi pana Sylwana. Ale jakoś nie podobały mu się trele ułana, bo pogardliwie machnął ręką, a zwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Sreżonego Pan Bóg strzeże... Dzisiaj długo jeszcze we dworze czuwać będą, bo to wigilia św. Floryana. Dotychczas bawiłem u pani Jędrzejowej i czytałem z nią modlitwy św. Augustyna. Biedna

matrona ma sumienie zbyt tkliwe, o którym wieloletnich rzeczy napisał św. Augustyn.

Przyszło mi na myśl, że rodzina ta musi mieć jakąś tajemnicę i że od księdza Ignacego będę mógł coś dowiedzieć się o owym nieprzyjacielu domowym, który w wigilię św. Floryana wypędza kółko rodzinne od domowego ogniska. Wziąwszy więc staruszka pod rękę, zaproponowałem mu, że go do plebanii odprowadzę, dodając, że tak chcę użyć przechadzki. Zgodził się na to chętnie ksiądz Ignacy, a wyszedłszy na drogę polową, zacząłem tak do niego:

— Już to człowiek nie powinien wściubiać tam nosa, gdzie nie należy, a nawet grzechem jest częstokroć ciekawość zbytnia. Gdy jednak przypadkiem coś do ucha zaleci, co na bliźnich jakieś niedobre rzuca światło, to lepiej wtedy dowiedzieć się o rzeczy na gruncie, niżeli z pozorów na kogoś wydać wyrok krzywdzący.

Ksiądz Ignacy uśmiechnął się i żartobliwie rzekł na to:

— Nie wiem, o czym waszmość myślisz, czy o drobnych lub wielkich rzeczach.

— Jakto? — zapytałem.

— Czy o panu Sylwanie?...

— O panu Sylwanie?... A cóż mi do niego! Niech sobie zdrów śpiewa, jeżeli życie niema dla niego nic więcej nad piosnkę ułańską!

Podobała się księdzu Ignacemu moja odpowiedź,



bo z tonu żartobliwego przeszedł w poważny, a ścisnąwszy mnie za rękę, rzekł:

— Od drobnych, na pozór niewinnych rzeczy, poczynają się wszystkie nasze nieszczęścia.

— Słuszne to zdanie, księże Ignacy — odpowiedziałem. — Nie odrazu to musiało przyjść do takiej ajezgody w rodzinie Boleszczyckich, jak to mimowoli w mojej izdebce, która graniczy z szarą komnatą, zasłyszalem.

Tym sposobem zwróciłem rozmowę na przedmiot, który mnie wyłącznie w tej chwili zajmował. Zrozumiał to ksiądz Ignacy, bo spojrzawszy na mnie, milczał czas niejaki, jakby sobie coś w głowie układał, a westchnąwszy, rzekł do mnie:

— To waszmość myślisz o panu Krzysztofie?

— A nie inaczej — odpowiedziałem.

Po niejakim czasie namysłu ozwał się ksiądz Ignacy:

— Historia o panu Krzysztofie jest tu mniej więcej wszystkim wiadoma. Każdy jednak opowiada ją sobie inaczej. Jedni nazywają go szulerem, drudzy człowiekiem bez sumienia, pieniaczem, to znów pijakiem, a są nawet i tacy, którzy utrzymują, że na swoim odosobnionym majątku w górach Karpackich miewa konszachty z opryszkami. Stary Stefan, mój karbowy, wierzy, że razu jednego, podczas wielkiej burzy wleciał w niego dyabeł i opętał go.

— Czy to być może? — zapytałem zdziwiony.

Ksiądz Ignacy uśmiechnął się na to i rzekł:

— A jużci może Pan Bóg dopuścić, że zły duch opęta grzesznego człowieka, aby tym sposobem pokutował za wykroczenia swoje. Głębiej jednak wnikać powinien wzrok kapłana, niż wiara starego Stefana.

— Jakto, toż innej jesteś od Stefana wiary, księże Ignacy? — zawołałem zdziwiony.

— Jednej i tej samej — odparł ksiądz Ignacy — tylko inaczej od Stefana wyobrażam sobie tego złego ducha. Mój karbowy bowiem utrzymuje, że ten zły duch, który wszedł w pana Krzysztofa, musi mieć łeb psi, parę baranich rogów, czerwony kusy frak i kopyta końskie. Inaczej nie pojmuje go stary Stefan, chociaż w całej wsi on tylko jeden umie ministranturę i wtóruje mi, gdy śpiewam *Te Deum laudamus*. A nawet opowiada, że razu jednego widział na własne oczy tego złego ducha, gdy we śnie wyłaź z ust panu Krzysztofowi, aby tymczasem jakąś pilną załatwić sprawę z kolegami, którzy do niego byli przyszli.

Ksiądz Ignacy spoczął trochę, bo właśnie przechodziliśmy koło figury, przed którą potrzeba było odmówić Zdrowaś Marya. Poczem podjął znów:

— Jakkolwiekbaź mój karbowy tego złego ducha sobie wyobraża, który opętał pana Krzysztofa, i jakkolwiekbaź inni ludzie postępi tego człowieka sobie tłómaczą, we wszystkim jednak jest ta pra-



wda na dnie, że pan Krzysztof na nieprawie wszedł drogi. Ale najciekawsza z tego wszystkiego, co go właściwie na te złe drogi zaprowadziło!

— Naprzód powiedz mi, księże Ignacy, jakie powinowactwo jest między tym panem Krzysztofem a konterfektem w czarnych ramach — rzekłem do mego towarzysza.

— Konterfekt w czarnych ramach przedstawia kogoś z rodziny Sicińskich, bo babkę pana Jędrzeja rodzi Sicińska.

— Czy sądzisz, księże Ignacy — zapytałem nawiasem — że duch praojca może przejść w jego wnuki?

— *In dubiis libertas* — odparł staruszek — i ja trzymam się tego. Wprawdzie niezbadane są wyroki Boskie, jakoteż tajemniczą jest potęga tradycyi rodowej, która cnoty i zbrodnie zaszczepia z pokolenia w pokolenie, ja jednak prostym moim rozumem inaczej tłómaczę sobie nieprawość pana Krzysztofa. A nawet znam ciekawe szczegóły z jego życia, bo kilkakrotnie tentowaliśmy z panem Jędrzejem nawrócić tę zblakaną duszę, której dobry grunt jeszcze dotychczas nie zatart się do szczytu.

Ksiądz Ignacy zamilkł tutaj, jakby układał sobie historję o panu Krzysztofie. Nie przerywając mu wcale, czekałem z niecierpliwością pierwszego jego słowa. Nawet treli pana Sylwana jakoś już nie słyszałem i byłem pewny, że lekkoduch pewnie śpi w najlepsze.

— O Krzysztofie rozmawialiśmy często z panem Jędrzejem — zaczął ksiądz Ignacy — i zgodziliśmy się w tem zdaniu, że wszystkich jego nieprawości jest jedna i ta sama przyczyna.

— I jakaż to przyczyna? — zapytałem.

— Wychował się bez rodziny i żyje bez rodziny! — odparł staruszek.

— Jakto? — zawołałem — toż człowiek, który nie ogrzał swego serca na łonie rodziny, który niema własnej rodziny, musi być już złym dlatego?

— Nie, panie Michale, tak koniecznie być nie może, ale tak jest najczęściej.

— A cóż na przykład waszność, księże Ignacy?

— Człowiek żyje miłością. Nasze serce musi coś ukochać, musi przyłgnąć do czegoś i zrość z tem w jedno życie. Inaczej, jak w pustym dworze, zagnieździ się ptactwo plugawe i będzie postrachem dla ludzi. Kapłan ukochał bliźnich swoich, a służba około nich ogrzewa go i zasila. Wyszłe serce samoluba jest największem nieszczęściem.

Uczulem prawdę tych słów i przypomniały mi się one dnie samotne, które spędziłem bez wzajemnego serca i żal mi ich było, że je tak marnie straciłem. Tymczasem prawil ksiądz Ignacy dalej:

— W kółku rodzinnem uczymy się czuć to ciepło serca i i duszy, które w późniejszym wieku staje się już naszą potrzebą. I szukamy tego ciepła w uścisku przyjaciela, w jakiejś pięknej, szlachetnej



myśli, wreszcie wracamy do naszych pierwszych wrażeń przy kominku domowym i otaczamy się kółkiem własnej rodziny, aby na młodsze pokolenie przenieść to wszystko, co nas dotąd ogrzewało i pokrzepiało. odbierz więc sercu to wszystko, czem ono będzie? Oto namiętności owładną je, tłuc się będzie w piersi człowieka jak tygrys w klatce żelaznej, i póty nie spocznie, póki samo siebie nie zabije!

Ucieszyłem się w duchu, usłyszawszy te słowa księdza Ignacego. Mniemałem bowiem, że wszedł już na dobrą drogę, wybrawszy sobie towarzyszkę życia. Inaczej jednak nieba zrzędziły, ale o tem innym razem.

— Boleszczyccy — mówił dalej ksiądz Ignacy — posiadali z dawien dawna ten majątek, który dzisiaj należy do pana Jędrzeja. Były jednak czasy, w których musieli go innym ustąpić. Działo się to za zwyczaj wtedy, gdy Boleszczyckim dobrze się powodziło. Wtedy darli się między sobą, dzielili się ojcowizną i pojedynczo ją tracili. Dopiero bieda i nędza skupiały ich znów razem. Znaleźli się znów przy kominku rodzinnego domku.

— Tak to bywało zawsze u nas — dorzuciłem — wadziliśmy się i rozdzielali, tylko wielkie nieszczęścia skupiały nas znów.

— Już to nas wyszczególnia od innych narodów — prawił dalej ksiądz Ignacy — że Kochamy nasz domek rodzinny. Spójrzij w historię rodzin

naszych, a obaczysz, że wnuki wracały do majątków swoich dziadów, wracały pracą i poprawą żywota. Ci zaś, którzy nie mogli dojść do rodzinnego swego ogniska, przez tęsknotę za niem popadli w błędy i krzywemi poszli drogami. Niejeden potomek znakomitej rodziny wala się dzisiaj na śmiecku życia — dlaczego?... Oto losy wyrugowały go z domku rodzinnego, bez którego niema pokoju w duszy. I tak stało się z Boleszczyckimi. Pradziad pana Jędrzeja był to dumny i bogaty szlachcic. Miał różne zachcenia pańskie i strwonił cały majątek. Wnuk jego, a ojciec pana Jędrzeja, przyszedł znów skrzętną pracą do mienia i nie spoczął, póki Boleszczyccy nie nabył i nie rozniecił ognia na dziadowskim kominku i nie uczcił pamiątek rodzinnych. Majątek ten odkupił od ojca pana Krzysztofa, który był stryjecznym bratem jego żony.

— Cóż skłoniło tego szlachcica do sprzedania majątku? — wtrąciłem nawiasem.

— Boleszczycki hojnie mu zapłacił, a ojciec Krzysztofa był chciwy pieniędzy. A nawet mówią, że te pieniądze gdzieś zakopał i w waryactwie zeszedł z tego świata. Lecz zdaje się, że tak nie było, bo po śmierci ojca miał Krzysztof znaczne pieniądze, a nawet niedawnemi czasy nabył obszerny, choć dosyć górzysty majątek, *Złotą górę*.

— Cóż go właściwie naprowadziło na złe drogi? — zapytałem.



— Naprzód, gdy był małym dzieckiem, umarła mu matka. Obca piastunka nosiła go na rękę i karmiła. Ojciec, zajęty robieniem grosza, rzadko patrzył na niego. Krzysztof nie zaznał nigdy uścisku matki, nie uczuł pocałowania ojcowskiego. Czasem tylko, gdy była burza na świecie, siadał ojciec przy ciepłym kominku w szarej komnacie i brał go z nuddów na kolana obok ulubionego wyżła. I dziwne to serce ludzkie! Po wszelkich przebytych brudach życia wraca pan Krzysztof pamięcią do tych kilku chwil, które przepędził na łonie rodzicielskiem. On sam nie wie, jakim sposobem to się dzieje, a przecież coś go ciągnie do tego miejsca, do tych wspomnień rodzinnych. Nawet w końcu, nie mogąc się oprzeć temu dziwnemu uczuciu, po latach zatargów i niezgody uczynił z panem Jędrzejem ten układ szczególny, że w wigilię św. Floryana (ojciec jego nazywał się Floryan), który to dzień szczególnie na nim czyni wrażenie, przyjeżdża do Boleszczyce i samotnie przepędza noc przy kominku w szarej komnacie. Wymówił sobie tylko, aby nikt z domowych nie przychodził wtedy do niego.

— Pan Jędrzej wspominał coś o przekleństwie, które rzucił na jego rodzinę — wtrąciłem znów.

— Zaraz, tylko proszę o cierpliwość. Nie odrazu robi się człowiek tak złym, aby swoich bliźnich przeklinał. Otóż, sprzedawszy Boleszczyce, umarł wkrótce ojciec pana Krzysztofa, a że był z rodu Siciń-

skich, to zaraz ludzie różnie o tej śmierci sobie mówili. Tak to nieubłaganą jest pamięć ludzka, przez którą Bóg wszechmocny karze złych w odległe wieki!... Krzysztof pozostał sam jeden na świecie. Obcy ludzie wychowali go, obcy uczyli go za pieniądze. Był to chłopiec udatnej postaci, o ślicznych czarnych włosach i oczach błękitnych. Serce jego nie było wcale złe, owszem, okazywał czasami nawet szlachetne popędy. Ale nie było to serce, które dojrzewa w łagodnym cieple kółka rodzinnego, w uściskach matki lub na łonie ojca. Krzysztof miał serce gorące, burzliwe — dusza jego lubiła dysonanse wichrów i burzy. Patrząc na tego chłopca, widać było, że jakiś wulkan wre tam w piersi, który niszczy i pali, ale nie ogrzewa i nie pokrzepia.

Ksiądz Ignacy spoczął, a widząc, że go z wytężoną słucham ciekawością, mówił dalej:

— Przygody sierocego żywota rozdrażniły duszę biednego sieroty. Popychano go i szturchano, naigrywano się z niego, bo nikt się za nim nie ujął, nikt nie utulił płaczącego, nie pielęgnował gdy był chory. Tym sposobem rozlewała się żółć po żyłach sieroty i wsiąkała zwolna w serce, które przecież mogło także świat ukochać!... Do tego przyczyniły się koleje młodych lat jego, na które dzisiaj tak mało zważamy, a które przecież podnoszą albo upadlają na zawsze duszę naszą.

Ksiądz Ignacy zamyślił się przytem i zdawało



mi się, że bogobojny staruszek cofnął się w dniu swojej młodości. Nie przerywałem mu tego zamyślenia, bo wiem już dzisiaj, czem ono jest dla serc naszych. Po niejakiem czasie zaczął znów:

— Młode serce rzuca się na oślep i marzy o aniołach tam, gdzie ich nigdy nie było. Pan Krzysztof był ładny chłopiec. Okazano mu tu i owdzie, że się podobał, pozwolono mu zbliżyć się, ściśnięto go nieznacznie za rękę — a gorący młodzieniec przeleżał noc bezsenną, marząc o najwznieśliwszych uczuciach. Niezłazność chciało, że te uczucia właśnie go zawiodły. Kilka kropli żółci spłynęło znów w jego serce sierocę. Celował dowcipem, śmiał się ze wszystkiego, co święte, bawił się i hulał, jak to zazwyczaj bywa, gdy w sercu jest próżnia. Ale próżni tej niczem nie wypełnisz. Otóż i panu Krzysztofowi nie wystarczyło to wszystko dla jego dzikiej, gorącej duszy. „Ożeń się, powiedział mu ktoś z przyjaciół, a milszem będzie ci życie.“ Uwierzył Krzysztof w tę niebezpieczną receptę i zaczął się oglądać po świecie. Nad Sanem, w białym, szlacheckim dworku ujrzał pannę Adelę. Przed dworek zajęchał czwórka w krakowskich chomątach. Bardzo to podobało się rodzicom panny, przyjęto i ugoszczono go. Po kilku tygodniach wymieniono pierścionki i na całym bożym świecie nie było czulszej i stosowniejszej pary, jak Adela i Krzysztof. Tak mówili rodzice, tak mówiły sąsiadki. Ale przypadkiem gdzieś u wód granicznych zajrzało jakieś niemieckie gra-

fiatko w oczka pięknej Adeli, a Krzysztofowi odesłano pęk listów i pierścionek. Rozsądna panna—mówili znów sąsiedzi i sąsiadki, a o panu Krzysztofie opowiadano, że jest pijak i szuler, bo się gdzieś tam zgrał do koszuli, a nawet upił. Do duszy, do serca nikt sierocie nie zajrzał.

Coraz ciekawszą stawała się dla mnie historia pana Krzysztofa. Widząc to ksiądz Ignacy, mówił dalej w ten sposób:

— Od tego czasu minęło kilka lat, a pan Krzysztof hulał po świecie, jakby dyabła miał w sobie. Szukał burd, awantur, wszędzie był pierwszym i ostatnim. Śmiał się z wiary w dobre uczucia ludzkie, a śmiech ten przyrastał z wolna do jego pięknej twarzy i wykrzywił ją nieprzyjemnie. Jeszcze raz chciał spróbować szlchetnego uczucia—ale na nieszczęśliwą wpadł drogę. Młoda, gorącej duszy pragnąca kobieta zwróciła na niego swoje oczy. Za jego serce złożyła mu wszystko w ofierze, co tylko kobieta poświęcić może. Ona mnie kocha nad życie—pomyślał sobie Krzysztof—bo cóż ją może skłaniać do poświęcenia tego wszystkiego, co najdroższem jest kobiecie? Mąż, rodzina, opinia przed światem, wszystko to poszło na stos ofiarny dla tej dziwnej miłości. Krzysztof wiedział, że źle czyni, ale gorąca dusza nie mogła tak łatwo ochłonąć z szału. Czyniono sobie wzajemne wyrzuty, ale w końcu zgodzono się w tem, że uczucie, które ich oświecało, przechodzi siły człowieka —



że jest nieśmiertelne. Ale wkrótce spostrzegł Krzysztof, że to „nieśmiertelne uczucie“ zaczęło jakoś szwankować w sercu śmiertelnej Anusi, a przyszedłszy raz u jednego o niezwykłej porze, ujrzał swoje miejsce zajęte przez innego, o którym utrzymywała Anusia, że lepiej od niego pojmuje wyższą, do wszystkich poświęceń skwapliwą kobietę!—Była to ostatnia, chociaż fałszywa struna jego serca, która teraz pękła — aby ono wiecznie milczało! Odtąd żył Krzysztof w gronie wodwilistek i chórzystek po miastach zagranicznych, płacił za przyjaźń i uściski przyjaciół i śmiał się serdecznie, gdy ktoś pieniędzy brać nie chciał. I tak przeżył jakieś lat czterdzieści.

Powiedziawszy to, zasmucił się ksiądz Ignacy. I mnie było żal biednego Krzysztofa, którego serce tak nielitościwie świat oziębili.

— Jak waszmość widziałeś—mówił dalej ksiądz Ignacy—jest on teraz brzydki i odrażający. Doświadczenia, które wyniósł z kałuży zepsucia, wykrzywiły twarz jego do szydlerczego uśmiechu, do szydzenia ze wszystkiego. W kole rodzinnem byłby może wcale innym człowiekiem. Dzisiaj cieszą go tylko cudze nieszczęścia i niezgody. Gdzie rękę włoży, tam wszystko zamąci. A czyni to z prawdziwą rozkoszą, z rozkoszą wcielonego dyabła. Pana Jędrzeja procesuje od lat dwudziestu o nieprawne posiadanie Boleszczyca, a nawet jednego razu zjawił się, jak zły duch, wśród jego rodziny i przeklął ją, aby nigdy nie było w niej zgody rodzinnej!...

— Czy wywarło jakie złe skutki to przekleństwo?—zapytałem?

— Dotychczas nie, ale pan Jędrzej mocno obawia się tego. Pan Krzysztof jednak, mimo całej swojej przewrotnej natury, ma kilka chwil dobrych raz do roku i to w wigilię św. Floryana. Tylko żeby mu nikt z rodziny Boleszczyckich na oczy się nie pokazał. Siedzi on wtedy przy kominku i cofa się do owych dni, w których obok wyżła siedział na kolanach rodzicielskich. Dziwne to serce ludzkie! Przecież ono nigdy zupełnie nie zamilknie?...

Ksiądz Ignacy chciał jeszcze coś więcej mówić, gdy nagle we dworze wiele światła zajaśniało, a po zroszonej trawie doszły nas jakieś dziwne głosy.

— Coś się tam stało! — zawołał ksiądz Ignacy i szybkim krokiem wróciliśmy obaj do ogrodu.



## IV.

**A f e k t y.**

We dworze było jakoś nadzwyczaj jasno. Służba snuła się ze światłem. Od wozowni słyszeliśmy głos pana Jędrzeja, który dawał karbowemu rozkazy, aby o cudzych koniach należycie pamiętał.

Zadziwiło to nas obu, że pan Jędrzej o tej porze wyszedł na dziedziniec, bo staruszek cierpiał na nogi, a po gwałtownej ulewie nie było wcale sucho na ziemi. A nawet jakoś tak ochoczo ruszał się starowina, jakby mu ze dwadzieścia lat ubyło. To też najpierw skierowaliśmy ku niemu nasze kroki, aby się od niego o czemś dowiedzieć.

— Księżę Ignacy—zawołał pan Jędrzej, widząc nas ku sobie idących—jutro na intencją dobrych nadziei naszych odczytasz mszę świętą, za co winienem ci dukata w złocie holenderskiem.

I chciał już przejść mimo nas uradowany starowina, ale spostrzegłszy mnie, zatrzymał się i rzekł:

— I wasze, panie Michale, nie śpisz jeszcze. Zapewne mój gość doroczny nie dał ci zasnąć. Ale dzięki

niebu, wszystko zakończy się dobrze. Jutro usłyszycie wielką nowinę. Dwór w Boleszczycach obchodzi jutro wielką uroczystość.

— Czy pan Krzysztof?...—wtrącił ksiądz Ignacy.

— Cyt!—odparł pan Jędrzej w jakimś złotym humorze i położył palec na ustach, jakby chciał powiedzieć, że chce zachować jakąś tajemnicę— cyt, dzisiaj jeszcze cyt. Nie trzeba nigdy korzystać z chwil, w których okazuje się człowiek słabym. Niech Krzysztof spokojnie noc prześpi, a co jutro rano przy zdrowych zmysłach zrobi, to będzie zapewne po woli Bożej. A wtedy zanucisz nam księżę Ignacy *Gaudeamus igitur!*...

— Może duch Boży wstąpił w niego—przerwał proboszcz.

— A może szatan w nim się zaczął—wtrącił pan Jędrzej—i dla zdrady przywdział szaty anioła światłości, o którym zeszej niedzieli tak pięknie mówiłeś na ambonie.

Ksiądz Ignacy zamyślił się i ja nie umiałem jakoś na ten dziwny koncept pana Jędrzeja odpowiedzieć. Ale snąc pan Jędrzej nie przywiązywał do swoich słów tak wielkiej wagi, jak to nam się wydawać mogło, bo podawszy obie ręce do uścisku, rzekł z uśmiechem szczęścia na twarzy:

— Dobranoc wam, spieszę do gości, którzy z daleka przyjechali. Oby słońce dnia jutrzejszego dłu-



go, długo świeciło nad szczęśliwym moim domem, moją ukochaną rodziną!

W tych słowach pana Jędrzeja było tyle szczęścia, tyle błogiego ukojenia, że usłyszawszy je, mimowoli przyszło mi na myśl: Gdyby ten człowiek zawiódł się w swoich nadziejach, gdyby na rodzinę jego spadło jakie nieprzewidziane nieszczęście — onby żyć przestał.

I jakiś strach zdjął mnie nagle, złowieszcze przecucie opanowało serce moje. Powoli oddalała się odemnie postać poczciwego staruszka, głos tylko jego, nakazujący przybyłym wszelką wygodę, zalatywał do naszych uszu.

— To zapewne pan Marcin przyjechał—ozwał się po jakimś czasie ksiądz Ignacy.

— Co za Marcin?—zapytałem.

— Konkurent panny Anastazy—odpowiedział mój towarzysz—daj Boże, aby to wszystko na dobre wyszło.

Chociaż wszystko to, co się dotychczas w tym dworze działo, a czego ja sam świadkiem byłem, na dobre się zanosilo, jednak we wszystkich nadziejach i wzajemnych życzeniach były tak dziwne klauzury, że mimowoli napawały moje serce jakąś dziwną, niewytłumaczoną obawą.

— Cóż to za konkurent ten pan Marcin?—zapytałem po krótkiej pauzie księdza Ignacego.

— Poczciwy, złoty chłopiec — odparł tenże — kabza tylko niezbyt pełna.

— A panna Anastazy?—wtrąciłem.

— Kocha go i chce z nim podzielać los, jaki im padnie—odpowiedział ksiądz Ignacy.

Muszę wam tu nawiasem powiedzieć, że należę do ludzi dawnego obyczaju. Nie wierzę ja w dzisiejszy wasz sentyment, który najczęściej w głowie się rodzi, a potem do serca tranzlokuję. Za moich czasów trzymano sentyment dobrze na uwieży, pytano się ojca i matki, i często trzeba było noc całą przeplakać, a przecież wstało się rano z dobrą miną, jeśli rozkaz rodziców tego wymagał. To dodawało nam hartu i uczyło nas panować nad sobą. Otóż gdy powiedziano: „kochaj go i chć los z nim dzielić“, to znaczyło, że rodzice sobie tego stać życzą. Więc ozwałem się na to do księdza Ignacego:

— O ile panienkę poznałem, jest to słabiotkie i wypieszczone paniątko. Czy zechceż ona na mniejszym folwarku mieszkać i sama wziąć się do pracy?

— Pan Jędrzej ma wprawdzie znaczny majątek—odparł na to ksiądz Ignacy—ale zbytńia troskliwość o zgodę rodzinną nie dała mu rozpuścić swej rodziny między ludzi. Nie dozwolił nawet żadnemu synowi, aby się do czegoś aplikował, mówiąc, że gdy jeden z nich zostanie adwokatem, to zaraz drugich będzie procesował. I na urzędy także nie chciał zezwolić, bo jest tego zdania, że urzędy zacierają wspomnienia rodzinne i przetwarzają człowieka. Dlatego każde z jego dzieci musi coś dostać z tego majątku, a gdzie jest ich pię-



cioro, włącznie z panną Klarą, tam i największy majątek musi się podrobić na małe folwarczki. Wiedzą o tem dobrze nasi modni panicze i dlatego nie zbliżają się do panienki. I panna Anastazyja wie o tem i dlatego trzyma się pana Marcina.

— Ba!—odpowiedziałem—i jakież to afekt, mości dobrodzieju?

— Jest to afekt i rozsądek razem, panie Michale—dorzucił ksiądz Ignacy żartobliwym tonem.—I młoda żonka waszeci może także ponad ładne wąsy zerknęła trochę na wyborne stadko Olszowy!

— Jako żywo—odparłem—na nic nie chciała się patrzeć, ani na stadko, ani na zasoby spizarni. Nawet zrywała się, że ją jakby klucznicę jaką po domu oprowadzam. Już to moja Basia jest kobieta niepospolitego afektu.

Jeszcze to i owo chciałem księdzu Ignacemu powiedzieć, bo jakoś język mi się rozwiązał, a o spaniu ani myśli nie miałem, gdy z drugiej strony dworu doszła nas jakaś dziwna kłótnia między synami pana Jędrzeja, Kajetanem i Sylwanem. Jakoś niemiło uderzyło to księdza Ignacego. Spiesznie podał mi rękę na dobranoc i wymknął się małą furtką z ogrodu. I ja chciałem już z tej nocnej wycieczki wrócić do mojej izdebki, a że do niej był przystęp od ogrodu, musiałem więc mimowoli przechodzić koło spierających się braci.

Przysunawszy się do muru, chciałem niepostrze-

żony wejść do mojej izdebki, gdy nagle obaczył mnie pan Kajetan i zaraz donośnym zawołał głosem:

— Hej! panie Michale, pójdźże tu na arbitra, bo jakom żyw, nie dam pardonu ułanowi. Dzban do czasu wodę nosi i moja cierpliwość już się wyczerpała!

Kajetan mówił to tak stanowczym głosem, że poznałem od razu, że to coś nie przelewki. A że obowiązkiem jest każdego prawego człowieka godzić drugich, gdy się powaśnią, toż przystąpiłem do nich, w tem przekonaniu, że jeszcze do snu wezmę sobie jaki dobry uczynek pod poduszkę.

Kajetan stał z rękami w tył założonemi, jak człowiek pewny swojej siły, jeśli jej koniecznie użyć wypadnie. Sylwan wyglądał coś strasznie na kota, którego przy śmietanie złapano. Powciągał pazurki i przybrał tak obojętną minę, jakby żadnego na sercu nie miał przewinienia i niczego się za to nie obawiał. W lewej ręce trzymał cytrę, a prawą podgartywał sobie czuprynę z taką swobodą, jakby się na bal wybierał.

— Cóż waszmościowie tak stoicie, jak koguty przeciw sobie?—rzekłem żartobliwie, bo żart w takim razie najprędzej rozbraja zapaśników.

— Jak to nie mamy stać przeciw sobie, jak koguty, jeśli jeden bierze z przed dzioba drugiemu, co ten sobie wygrzebie—odpowiedział Kajetan i groźnie ręce za siebie rzucił.

— A cóżes to sobie po księżycu wygrzebał, panie Kajetanie?—zapytałem tym samym tonem żartobliwym.



— Żart na bok, panie Michale—rzekł Kajetan—bo we mnie wszystko kipi.

— Dla Boga, cóż się stało? — zawołałem seryo, widząc, że moje żartobliwe zapytanie rozdrażnia jednego z braci.

— Nie jest to wprawdzie ani czas, ani miejsce po temu — mówił Kajetan—aby sprawę naszą przed waszmością wytoczyć, zresztą i zażyłości nie ma jeszcze takiej między nami, ale jeśli człowiekowi coś dopieczę, to radby mówić, chociażby i nikt słuchać go nie chciał.

— I lepiej byłoby dla ciebie, gdyby pan Michał w rzeczy samej nie chciał cię słuchać—wtrącił z ironicznym lekceważeniem pan Sylwan.

Na co odpowiedziałem bez namysłu:

— Nie miłać wprawdzie rzecz słuchać spraw cudzych, ale gorsza uciekać wtedy, gdy je już wytoczono. Dlatego chętnie słucham skarg waszych, a w Bogu nadzieja, że się na dobranoc uściskacie.

— Ja mu wszystko daruję, tylko niech raz przestanie mnie martwić — zawołał Kajetan.

— Cóż ciebie to martwi?—zapytał Sylwan.—Prędzej pan Michał mógłby...

— Mógłby się zmartwić i pewnie się zmartwi jako człowiek poczciwy—wpadł Kajetan.

— Dziecko jesteś — zawołał Sylwan i uczynił bratu jakiś znak, którego dotychczas wytłumaczyć sobie nie umiem.

Ale Kajetan zanadto był rozdrażniony, aby na

znaki brata uważać. Postąpiwszy kilka kroków naprzód, wziął mię za pętlicę od czamary, przysunął do siebie i tak zaczął:

— Widziałeś waszmość w naszym kole rodzinnem tę bladą panienkę z małym, lekko zadartym nośkiem. Jest to panna Klara, sierota bez ojca i matki, która razem z nami się chowała. Ileż to razy, będąc małym, musiałem na raczkach chodzić i za konia jej służyć. I od tego czasu, chociaż często zrzuciłem ją przez głowę, wierzgając niby koń nogami... już od tego czasu miałem dla niej sentyment, który rósł razem z naszymi latami.

Sylwan zagwizdał sobie z cicha jakąś piosenkę ułańską i powoli zaczął brzdąkać po cytrze. Nie przeszkadzało to wcale Kajetanowi w jego opowiadaniu. Przyciągnąwszy mnie tem silniej za pętlicę do siebie, mówił dalej:

— Otóż rośliśmy razem, a z nami rósł nasz afekt wzajemny. A gdym już był tak wielki, że raczkować nie mogłem i Klara nawet już niechętnie w konia się bawiła, wtedy graliśmy z sobą w ciuciubabkę, i zawsze tak się stało, żeśmy sobie wzajem zlapali!

Niepoczciwy ułan rozśmiał się przy tych słowach brata, ale Kajetan już był w werwie i nie dał sobie przerwać.

— Od ciuciubabki przyszedliśmy do cenzurowanego—mówił dalej Kajetan—i tu zawsze odgadywaliśmy siebie. Gdy mi kto powiedział, że mam ładne



nogi, to zaraz wiedziałem, że to Klarcia, a ona także na mnie wskazywała, gdy ktoś jej małe uszka pochwalił.

Kajetan zatrzymał się tu w improwizowanej swojej spowiedzi, a Sylwan przeszedł nieznacznie w melodyę, która coś zakrawała na „wlał kotek na płotek“.

— Im dalej w lata — mówił znów Kajetan — tem większe zawiązywały się między nami afekty, tem poważniejsze bawiły nas gry. Od „cenzurowanego“ postąpiliśmy do gry w „sympatyę“. A tu jak najwyraźniej okazał się nasz afekt wzajemny, bo zawsze siadaliśmy obok siebie. Bywało nieraz, że rywala potrzeba było mocą z krzesła wyrugować, przy czem się trafiało, że jak długi padałem na ziemię i nogami się nakrywałem, a chociaż sprawiało to powszechną weselość i niejedna panna złośliwie zachichotała, przecież panna Klara tak mile na mnie zerknęła, że za jedno takie spojrzenie byłbym i koziolki wywracał.

Jakby jaki złośliwy duch, zanucił znów Sylwan pod nosem melodyę, na którą śpiewa się znajoma piosenka: „Chcesz się żenić, przyjacielu, to się żeń“. — Ale Kajetan tak był zajęty grą w „sympatyę“, że uchwyciwszy za drugą pętlicę mojej czamary, aż mi w kołnierzu coś pękło, jeszcze bliżej przyciągnął mnie do siebie i gromowym swoim głosem prawił mi do lewego ucha:

— Widoczna była sympatya między nami, tylko Sylwan i Amilkar nigdy temu wierzyć nie chcieli i szdzili sobie ze mnie. Ale wkrótce wyszło wszystko,

jak oliwa na wierzch. Już nas nie bawiły ani egzer-cycye końskie, ani „cenzurowane“, a nawet sympatya wkrótce nam się sprzykrzyła. Człowiek już liźnął coś nauki, pisał różne elaborata i próbował własnego konceptu. Otóż zaczęliśmy grać w tak zwanego „se-kretarza“, gdzie to człowiek konceptem nadrabiać musi. Chociaż ta gra zrazu nie bardzo mi się kleiła, bo ksiądz Ignacy do dziś dnia utrzymuje, że moja głowa wcale nie jest do konceptu, jednak włożyłem się powoli do różnych przy takiej grze koniecznie potrzebnych dowcipów, a nawet często ubawiłem całe towarzystwo moim konceptem.

Korzystając z krótkiej pauzy, którą Kajetan uczynił w swoim opowiadaniu, zaproponowałem obu poważniejszym braciom, abyśmy sobie na ławeczce usiedli. Jakoż przegrodziwszy zapaśników swoją osobą, prosiłem Kajetana, aby rzecz dalej prowadził. Na niebie świecił księżyc w pełni, a noc majowa była tak ciepła i wonna, że aż żal było kłaść się do łóżka. Otóż uchwyciwszy napowrót pętlicę mojej czamary, mówił dalej Kajetan:

— Bawiąc się tedy jednego razu w „sekreterza“, dostałem kartkę z napisem: „w kim się kocha pan Kajetan?“ Poznałem rękę panny Klary, bo nigdy do ę nie dodaje ogonka. Nie namyślając się więc długo, napisałem: „w swojej sąsiadce“. A chociaż po drugiej stronie siedziała przy mnie panna Eulalia, przecież widziałem dobrze, jak po przeczytaniu tego trafnego



konceptu panna Klara raka spiekła i od tej chwili przez cały wieczór ani razu na mnie nie spojrziała. A przecież ciocia nasza, panna Pulcherya, do dziś dnia utrzymuje, że kiedy kobieta prawdziwie kocha, to w towarzystwie nigdy nie popatrzy się na przedmiot afektu swego.

I bardzo rozsądnie powiedział Kajetan, czy raczej panna Pulcherya swoim dojrzałym rozsądkiem tak trafnie tę rzecz osądziła. Kobieta bowiem, gdy czuje prawdziwy afekt, to zawsze spuszcza oczy w ziemię i jakoś jest zakłopotana. Afekt odbiera jej w tej chwili i rozum i dowcip, a nawet w potocznych rzeczach staje się niezgrabną. A jeśli kobieta o afektach mówi, a przytem śmiało w oczy patrzy, a nawet coś figlarnego uczyni, to z daleka od niej, mój bracie, bo tam serce zimne, jak u syreny. Jest to tylko umiejętna gra słów i mimiki, a nic więcej. Tam dusza brzydka i próżna. — Mógłbym tu wiele rzeczy w tej materii opowiedzieć z własnego mego domowego pożycia; bo i ja w młodszym wieku inaczej na świat patrzyłem, i omal ze skóry nie wyskoczyłem, gdy po raz pierwszy spoczęły na mnie czarne, świdrujące oczka mojej Basi. Później inne powziąłem wyobrażenie o takich śmiałych, czarnych oczkach, ale o tem innym razem. I tak świat dzisiejszy nie chce korzystać z cudzych doświadczeń, tylko sam doświadcza. Dzisiaj uważanoby to za brak edukacji, gdyby panna przy zbliżeniu się konkurenta oczy spuszczała. Przeciwnie,

dzisiaj oczami zaczyna się i prowadzi cała przedślubna konwersacya, to też po ślubie jedno na drugie i patrzeć nie chce. Dawniej panna młoda dopiero wstając ze stopni ołtarza mogła śmiało swemu dozgonnemu towarzyszowi w oczy zajrzeć — dzisiaj w pierwszych dniach znajomości tak się już na wyłot znają kochankowie, że później i rozmawiać nie mają już o czem.

Otóż bardzo przypadło mi do serca to powie-dzenie Kajetana, i nie wątpiłem, że afekt panny Klary dla niego był prawdziwym. Z większem więc zajęciem słuchałem dalej jego spowiedzi. Odkrząknawszy, mówił dalej Kajetan:

— Po tym szczęśliwym koncepcie moim byłem pewny, że panna Klara mnie kocha. A nawet przypominam sobie, tak mnie to przyjemnie zalterowało, że wróciwszy do mojej izdebki, zamiast dziennego raportu, napisałem sześć wierszy do panny Klary, które nazajutrz rano podałem jej z prześlicznym bukietem.

Nieuczciwy Sylwan brzdąkał nieustannie jakies wesole melodyjki na cytrze i gwizdał sobie pod nosem.

— I jakąż dostales pan odpowiedź na te wiersze? — zapytałem.

— Odpowiedzi żadnej nie dostałem — odparł Kajetan — a ciocia Pulcherya jest tego zdania, że panna w takim razie nigdy nie powinna odpowiadać, tylko swoim postępowaniem ma dać do poznania, co o podobnej ofercie sądzi. A nawet niedługo czekałem na



taką odpowiedź pod figurą. Zaraz po obiedzie tego samego dnia siadła panna Klara do klawikordu, a gdy czule na nią spojrziałem, uśmiechnęła się i zaczęła śpiewać piosenkę, w której to przychodzi:

Spojrzyj w oko, spojrzyj w lice,  
Wnet wyczytasz tajemnicę.....

a potem znów:

Lecz gdy wejdiesz, a ja splenę,  
Masz już wszystko wyjawione.....

Nie mogąc drugiej części zwrotki naprędce sobie przypomnieć, zaprzestał Kajetan dalszych cytacji piosenki, która tak ważną miała się stać dla niego, i spowiedź swoją prowadził dalej w ten sposób:

— Przypomniałem sobie przy tej piosence, że panna Klara w samej rzeczy kilka razy dzisiaj raka przy mnie spiekała, a kontentując się taką odpowiedzią, o nic więcej się nie pytałem, a nawet o owych sześciu wierszach nigdy nie rozmawialiśmy z sobą. Byłem pewny, że ma afekt do mnie, a ja przemyślałem odtąd, jakimby to sposobem przyjąć do własnego domku i biedną sierotkę pod własny dach zaprowadzić.

Rozczuliły mnie te słowa pocziwego Kajetana, a od Sylwana coś mnie odepchnęło. Chcąc więc pierwszego utrzymać przy jego dobrych zamysłach, rzekłem:

— Choć panna Klara jest sierotą, to przecież posiada ona coś, coby nie jedna pani zazdrościć jej mogła.

— Ona właściwie nic nie posiada — wtrącił pocziwy Kajetan — a mój brat Amilkar utrzymuje zawsze,

że panna Klara, prócz dwóch sukien jedwabnych, pary zgrabnych trzewiczków i noska do góry zadartego, nic więcej nie ma.

— Nie zrozumiałeś mię, mości Kajetanie — odpowiedziałem — ja mówiłem o tem, że panna Klara posiada to, czego by nie jedna pani tego świata pragnęła, to jest: opiekę Boga, albowiem każdą sierotą sam Bóg się opiekuje.

Słowa moje nie padły jak groch na ścianę, bo Sylwan przestał brzdąkać na cytrze i jakoś mocno się zamyslił.

— Więc czysta jak iza twoja sprawa, mości Kajetanie — rzekłem — a cóż tu ma pan Sylwan wchodzić?

— Właśnie przychodzi mi teraz o nim mówić — zawołał Kajetan i szarpnął mię za pętlicę. — On to, mości Michale, staje mi w drodze do szczęścia.

— Ja, czyś oszalał? — krzyknął Sylwan.

— Oddawna nadskakiwał on pannie Klarze, a nawet chciał ją uczyć głupich swoich śpiewek. Oddawna spostrzegłem, że coś się święci, chodziłem za nim i za panną Klarą, i oto przydybałem go dzisiaj, jak tu niedaleko okna panny Klary wywodził swoje trele miłosne. A nawet słyszałem wyraźnie, jak śpiewał:

..... Ty aniele czarnych oczu  
Z tobą żyłbym na uboczu,  
Chciałbym, by przez żywot cały  
One na mnie wciąż patrzyły.....

A przecież każdy to wie, że panna Klara ma



czarne oczy. A zresztą pocóż te trele wywodzić tu pod tem oknem?

Spojrzałem w to okno, na które w tej chwili palcem wskazał Kajetan, i zdawało mi się, że jakaś kobieca postać w bieli prędko od szyby uciekła.

— Któż mieszka w tem oknie? — zapytałem, chcąc jako arbiter dokładnie o całej sprawie się wywiedzieć.

— W tem oknie mieszka panna Klara—odparł Kajetan.

— A gdzież fraucymer — zapytałem, sądząc, że zazdrość Kajetana gruntuje się na jakimś nieporozumieniu.

— Tu na tej stronie nie ma fraucymeru—odpowiedział Kajetan—a jeśli waszmość to w błąd wprowadziło, że w tem oknie widziałeś kilka kobiet, to ztąd pochodzi, że na dzisiaj zakwaterowano do panny Klary żonę waszmości.

Sylwan rzucił się niecierpliwie na ławce, rzecz jasna, że już żadnej wymówki być nie mogło. Nie zachodziło tu już żadne nieporozumienie, oczywista, że kochany braciszek chciał serduszko panny Klary różnemi śpiewkami dla siebie skaptować.

— Powiedź mi prawdę, mości Sylwanie—przemówiłem do niego — czy na seryo masz afekt do panny Klary, czy tylko tak po waszemu, chcesz pannie Klarze główkę zawrócić, a potem do innej czmychnąć chorągwi?

To zapytanie moje wywarło na nim silne wrażenie. Odetchnął głęboko, jakby jaki kamień spadł mu z serca, odłożył cytrę na bok i poważnym ozwał się tonem:

— Znajomość nasza jest zbyt krótka, abym z tego, co czuję, miał się zaraz wypowiadać. Ale że mój brat do tego mnie wzywa i sam już niejako afekt swój przed waszmością odstąpił, pójdę więc za jego śladem i dzisiaj zakończę tę sprawę, która mi wiele przynosi zmartwienia. Oto o pannie Klarze nieraz myślałem. Ma ona złote serce i wdzięki także niepoślednie. Byłbym może z nią szczęśliwszym niżeli z panną Eulalią, która ma posag i parantelę. Ale chcę dać przykład całemu światu, że brat dla brata może ponieść ofiarę.

— Jakto — krzyknął Kajetan i naderwał mi pętlicę od czarmary — jakto, ty chcesz wyrzec się panny Klary?

— Oto masz moje słowo i moją rękę — zawołał uroczytym głosem Sylwan.

— Uściskajcie się na znak wiecznej zgody — rzekłem i nie mogłem już ani słowa więcej powiedzieć, bo lzy cisnęły mi się do oczu.

Serce moje radowało się, gdy poważnieni bracia rzucili się na siebie i tak się ściskali i całowali, że ledwo siebie nie podusili. A ja zdjąłem czapkę, spojrzałem w niebo i podziękowałem Bogu, że miałem stali się narzędziem zgody w rodzinie. I pomyślałem sobie:



— Mój Boże, gdyby to pan Jędrzej wiedział, jak piękne uczucia wiążą jego rodzinę, spałby sobie spokojnie i nie trapił się złowrogą marą, że duch niezgody porozrywa kiedyś te święte ogniwa! Gdyby nawet sam ś. p. poseł upitski z grobu powstał, nicby nie wskórał tutaj, a cóż dopiero zdziałać może ta mizerna kopia jego, jaką jest pan Krzysztof? Ofiara osobista dla zgody rodzinnej podnosi człowieka wysoko. Kto w kole rodzinnem cnotą się wznosi, ten może w narodzie zostać wielkim.

Tak to myślałem sobie, idąc na spoczynek do mojej izdebki. A szedłem z takim zadowoleniem, jakobym wypełnił jaki dobry uczynek. Widząc takie rzeczy i człowiek sam staje się lepszym. W tej chwili byłbym zdolny do każdej ofiary, którejby odemnie zażądano. Tak to niegdyś w przeszłości naszej cnoty publiczne zagrzewały nas do wzajemnej emulacyi. — Niema nic obrzydliwszego nad egoizm dzisiejszy, który zamyka każdego w ciasnym kąciku osobistych jego zachceń.

I już byłem na progu mojej izdebki, gdy usłyszałem za sobą ciche stapanie. Był to pan Jędrzej. Zadziwiło mnie to niemało, że starowina jeszcze był na nogach. Miało się bowiem już koło północy.

— Jak widzę, waszmości wcale sen się nie czepia — rzekłem do niego — tak to zawsze goście sprawiają gospodarzowi noc bezsenna.

— Spać dzisiaj nie mogę, kochany panie Mi-

chale — odparł cichym głosem pan Jędrzej — bo serce moje tak się dzisiaj raduje i w piersi mi skacze, że o spaniu ani myśleć. Byłem już tu dwa razy u waszmości, a nie znalazłszy cię w łóżku, pomyślałem sobie: już to dzisiaj noc taka, aby w Boleszczykach nikt nie spał. Chciałem się z waszmością podzielić wielką moją radością.

— Czy pan Krzysztof?

— To go już znasz?

— Ksiądz Ignacy opowiedział mi o nim wiele...

— To znasz więcej, niżbym sam ci mógł opowiedzieć — poderwał pan Jędrzej — a teraz słuchaj: Ten pan Krzysztof, który lat czterdzieści był w mojej rodzinie upiorem niezgody, zmiękł dzisiaj i zaciąga się do mego kółka rodzinnego.

— Anieli w niebie cieszyć się będą — wtrąciłem nawiasem.

— A moja rodzina, chociaż o niczem jeszcze nie wie — mówił dalej pan Ignacy — już przeczuwa ten wielki zwrot ku zgodzie i jedności. Spostrzegłem nieraz u niej nasiona przyszłych niezgód. Dziś nagle wszystko się zmieniło. Pzechodząc koło oficyn, widziałem na własne oczy, jak Kajetan i Sylwan serdecznie na dobranoc się całowali. Tego już u nich nie bywało. Widać, że z tobą, panie Michale, dobra gwiazda zeszła nad domem moim.

Chciałem właśnie panu Jędrzejowi opowiedzieć, co między Kajetanem a Sylwanem zaszło, gdy tenże



za poję mnie ułapił i drżącym od radości głosem szepnął mi do ucha:

— Pójdź za mną, a jeszcze pokażę ci coś, co cię pewnie do łez poruszy. Jestem dzisiaj najszcześliwszym z ludzi. Pan Marcin, który właśnie w nocy tu zjechał, stara się o rękę Anastazyi.

Rzekłszy to, pociągnął mnie z wolna za sobą. Przeszliśmy przez szpaler malinowy i stanęliśmy blisko narożnego okna dworu. Okno było jasno oświetlone i stało otworem. Różne firanki i firaneczki okazywały, że tu mieszka kobieta, która wiele już życia przepędziła nad robótkami kobiecemi. I w samej rzeczy nie omyliłem się. Usłyszałem bowiem głos panny Pulcheryi, z którym łączył się piękny i dźwięczny głosik panny Anastazyi.

Pan Ignacy położył palec na ustach, aby nie robić szelestu, a drugą ręką wskazał na okno. Staaliśmy pod gęstym krzakiem jaśminu, który zakrywał nas cieniem swoim,

Panna Pulcherya miała okulary na nosie, a w rękę trzymała jakąś grubą książkę. Anastazyja była widocznie czemś wzruszona, bo nieustannie przechadzała się po pokoju.

— Mówisz mi ciociu — mówiła panna Anastazyja — że dobrze powinnam się nad tem zastanowić, co jutro panu Marciniowi odpowiedzieć. Mnie się zdaje, że moja odpowiedź już była gotowa od pierwszego naszego widzenia się.

— Jesteś egzaltantką, moja Naściu — powiedziała ciocia — i nie wiesz, czego kobiecie do życia potrzeba. Wprawdzie sam majątek i pozycja nie mogą nas uszczęśliwić. Gdyby tak było, byłabym dziś panią generalową i miałabym na rozkazy złotą karetkę. A przynajmniej pisałabym się Czwartakowską, bo musisz wiedzieć, że prezes sądu lubelskiego strasznie mi nadskakiwał. W ostatecznym razie mogłabym pójść za Polikarpa Szpyrkę, bogacza co się zowie. Ale wszystko to nie wystarczało moim ideałom. Serce moje nie mogło żadnego z nich pokochać.

— A wszakże mówiła mi ciocia — wtrąciła panna Anastazyja — że rządca ze Stroniląk.

— To było tylko pierwsze i ostatnie marzenie moje — przerwała ciocia, poprawiając okulary — marzenie, które każda kobieta raz tylko ma w życiu i na zawsze je w swoim sercu ukrywa.

Panna Anastazyja zamyśliła się, snać jakaś chmurka przesunęła się przed jej wzrokiem, a kto na tej chmurce jechał, tego widzieć nie mogłem.

— Ale widzisz, moje dziecko — mówiła dalej ciocia — moje pierwsze i ostatnie uczucie musiało pozostać marzeniem, bo pan Czubski nie miał odpowiedniej dla mnie pozycji. Teraz wiesz, jaką drogę kobieta wybierać powinna.

Jakoś nie kwadrowała ta nauka do młodej główki panny Anastazyi, bo coś strasznie posmutniała i zdawało się, że znów jakaś złowieszczą chmurka



z tajemniczem jakimś wspomnieniem przemknęła przed jej wzrokiem. Wreszcie ocknęła się, wstrząsała ładną główką, jakby z niej wszystkie niedobre myśli jak plewy wysypać chciała, i rzekła pięknym, pewnym głosem:

— Ciocia zawsze tak mówi, że ja w końcu nie wiem, co dobre, a co złe. Nie trzeba chodzić, bo się potknąć można, nie trzeba siedzieć, bo to niezdrowo. Najlepiej będzie, jeśli pójdę za popędem serca, a reszta — jakoś to będzie. Pana Karola wybiłam sobie z głowy, chociaż tak pięknym karyklem i angielskimi folblutami zajechał. Jest to modny dzisiejszy paniczyk, który szuka stu tysięcy, a u mnie ich nie znajdzie.

I znów zamyśliła się panna Anastazyja. Nie wiem, o czem myślała: czy o panu Marcinie, czy o angielskich folblutach pana Karola, czy wreszcie o stu tysiącach posagu?

— Dla tego, kochana ciociu — mówiła dalej — powiedziałam sobie: Pan Karol twoim nie będzie, bo nie masz stu tysięcy posagu, a pan Marcin wcale się o posag nie pyta.

— A co byś powiedziała sobie, gdybyś miała sto tysięcy? — zapytała ciocia, przecierając okulary.

Panna Anastazyja przeszła się kilka razy w milczeniu. Poczem ozwała się do panny Pulcheryi:

— Już ja widzę, że to jest wola Boża, abym została żoną pana Marcina. Moje serce przylgnęło

do niego — czuję, że mnie mocno kocha. Niema on wprawdzie wielkiego majątku, ani znakomitej pozycji w świecie, ale gdy dostanie mój posag i siostrę spłaci, będziemy mieli własny domek i własny ogródek. A mnie się zdaje, że to wystarczy mi do szczęścia. Jest nas liczna rodzina, gdy się majątek podzieli, nie będziemy wcale bogaci. Więc nie trzeba latać wysoko i o panu Karolu niema co marzyć, chociaż on ciociu bardzo do gustu przypadł.

I bylibyśmy jeszcze dłużej słuchali tej ciekawej rozmowy, gdyby nie faworyt panny Pulcheryi, ogromny, czubaty kogucisko, który siedział gdzieś na krzaku jaśminu. Zatrzepotał z takim łoskotem skrzydłami i tak przeraźliwie zapał, że chyłkiem musieliśmy uciekać od okna, bo obie niewiasty równocześnie za okno wyrzały.

— Widzisz, jak dobre i szlachetne serce ma Anastazyja — rzekł mi pan Jędrzej w odwrocie — ileż to szczęścia dla ojca rodziny, jeśli w niej takie przechowują się cnoty. A nawet żadne z nich nie wie, że jutro zapisuje nam Krzysztof cały swój majątek — *Złotą Górę!*... Nie pragnę ja wprawdzie tego, ale od przybytku głowa nie boli.

Jeszcze to i owo pomówiwszy z sobą, uściskaliśmy się na dobranoc. Wszedłem do mojej samotnej izdebki. Tyle rzeczy cisnęło mi się do głowy, że długo nie mógł usnąć. Do tego sąsiad mój, pan Krzysztof, stał mi ciągle przed oczyma. Widziałem



jego twarz żółkłą i pomarszczoną, jego uśmiech szyderczy. Zdawało mi się, że ten gość zagraża tej rodzinie jakimś wielkiem nieszczęściem.

Pod takim niedobrem wrażeniem usnąłem. We śnie widziałem konterfekt w czarnych ramach, ś. p. poseł upitski wykrzywił twarz do mnie, podnosił to jedno, to drugie ramię, jak to czyni człowiek garbaty, a gdym oczy otworzył, ujrzałem przed sobą pana Makarego, który w tej chwili także wydawał mi się podobnym do konterfektu.

Przetarłem oczy i podniosłem głowę. Był już dzień jasny, słońce padało przez okno na podłogę.

Pan Makary przyszedł powiedzieć mi dzień dobry. Było bowiem u nas dawniej we zwyczaju, że gospodarz *in persona* przychodził do gościa swego, pytając go jak mu się spało i czy kontent był z noclegu. Pan Jędrzej spał jeszcze, więc wyręczył go syn, opowiadając mi przytem o nowo przybyłych gościach.

I gdy tak z sobą w bliższą weszliśmy znajomość, zwierzył mi się pan Makary z sekretem, że napisał był kilka dzieł, które wkrótce drukiem ogłosi. Widać było po tem, co mi mówił, że to był człowiek uczony i wiele musiał nad książkami przesiedzieć.

— O czemże traktuje dzieło pana? — zapytałem.

— Jedno ma napis: *O potrzebie zgody i jedności między nami* — mówił pan Makary. — Przechodzę

całą naszą historję i wyświecłam dowodnie, że z braku zgody i jedności pochodzą wszystkie klęski nasze.

— To będzie dzieło wielkiej wagi — dorzuciłem.

— Druga książka będzie miała tytuł: *O potrzebie ofiary i poświęcenia*. I tu wykazę z dowodami, jak nasze niepowodzenia dziejowe rosły w miarę zatraty cnót publicznych. Każdym razem, kiedy prywatą górę bierze, upadamy na potędze naszej, a wzmacniamy się, gdy dla dobra powszechnego wyrzekamy się osobistych naszych widoków i korzyści.

— Tę książkę złotemi literami wydrukować — zawolałem.

— A trzecia — mówił pan Makary — będzie traktować o *wspólności w sprawach naszych*. W tej książce wykazę, jak wiele da się zrobić zespolonemi siłami, jeśli wszyscy razem i zgodnie coś przedsięwiorą. A niczego się nie osiągnie, jeśli pojedynczo każdy dla siebie robi, a co gorsza, jeśli o sobie tylko przy tem myśli.

Chciałem coś właśnie na pochwałę tej trzeciej książki powiedzieć, bo zawarta w niej prawda bardzo żywo mnie obchodziła, gdy w szarej komnacie usłyszałem ten sam śmiech szyderczy, który wczoraj tyle razy mnie przeraził.

I pan Makary jakoś się zasępił, a nawet do wychodu się wybierał, gdy się nagle drzwi otworzyły, a do izdebki wszedł pan Jędrzej, o trzydzieści lat młodszy, i zaraz na progu zawołał do Makarego:



— Dzieci, uroczysty dzień dzisiaj w naszym domu, a ty, panie Michale, musisz zostać, abyś wnu-  
kom swoim opowiadał, jak to niegdyś radowano się  
w staropolskiem kole rodzinnem, kiedy to koło spo-  
jone było zgodą i miłością wzajemną.

Poprzed oczami przemknęła mi się żółta, szyder-  
cza twarz Sicińskiego.

## V.

**W kościele i w domu.**

Wysłałem Grzeška do Olszowy z dyspozycją,  
co mają robić przez dzień cały, a sam zdecydowa-  
łem się zostać w Boleszczykach, aby być świadkiem  
tego wszystkiego, co tu dzisiaj stać się miało.

Zaraz po śniadaniu mieliśmy wszyscy udać się  
do kościoła na mszę świętą, którą miał odprawić  
ksiądz Ignacy na intencję wiecznej zgody w rodzi-  
nie. A że od wczorajszego wieczora mojej Basi na  
oko nie widziałem, tęskno mi jakoś było za nią i posta-  
nowiłem powiedzieć jej jeszcze przedemszą dzień  
dobry i śniadanko z nią spożyć. Ale śnać Pan Bóg  
za grzech poczytał mi to pragnienie mego serca, że  
przed nabożeństwem o sobie samym myślałem, bo  
wszedłszy do kredensu i oznajmiwszy żonie przez  
kozaczka życzenie moje, usłyszałem przez drzwi opry-  
skliwą jej odpowiedź, że jejmość jeszcze nie ubrana  
i że dopiero po mszy świętej, gdy zmieni toaletę, da  
się widzieć mężowi.

Wróciłem do mojej izdebki i samotny spożyłem



przyniesione mi śniadanko. Miałem zwyczaj brać co rana „Złoty Oltarzyk” do ręki i patrzeć, gdzie mi się sam otworzy. Przeżegnałem się więc i otworzyłem go. Wypadła mi „modlitwa w utrapieniu.” Byłem tej myśli, że to prognostyk tego, co się w dniu tym stać miało. Nie wiedziałem, że to miał być prognostyk na całe życie moje.

Otóż, odmówiwszy modlitwę, nasunąłem czapkę na głowę i już chciałem wyjść z izdebki, aby jeszcze przed służbą Bożą świeżem odetchnąć powietrzem, gdy w szarej komnacie, w której dotąd było głucho jak w grobie, usłyszałem nagle jakieś krzyki i hałasy. Sta nałem i słuchałem. Pan Krzysztof w jakimś niedobrym był humorze. Krzyczał na starego Sobka i lżył go ostatnimi wyrazami. Po nim wsiadł na furmana, któremu naczczo kazał zjeść kilkakroć sto tysięcy. Pokojowca, który mu przyniósł wodę, posłał do dyabła, a pocziwemu Janowi kazał zdechnąć, jak psu. Komuś jeszcze tam życzył, aby go piorun trzasnął, a przynajmniej, aby sobie kark zламаł, ale tego już słuchać nie chciałem, bo właśnie zadzwoniono w kościele na mszę świętą. I pomyślałem sobie: Głos kościelnego dzwonu rozprasza ćmy złych duchów — a niemi są brzydkie myśli nasze i namiętności.

Jakoż nagle ucichł pan Krzysztof. W długiej ogrodowej alei ujrzałem nasze panie, idące do kościoła. Poszedłem za niemi.

W kościółku, prócz kolatora i jego domowych, nie było więcej nikogo. Był to dzień roboczy, a ksiądz Ignacy zwykł często mawiać z ambony do ludu, że praca jest także modlitwą. To też tylko kilka kalek i staruszków nadsięgnęło później o kij do domu Bożego, a co było przy siłach i zdrowiu, wyszło w pole do pracy.

Tak cicho i spokojnie było w kościółku wiejskim i taka błogość opanowała serce moje, że do dziś dnia nie mogę zapomnieć tego uczucia, którego w onczas zakosztowała moja dusza. Takie uczucie szczęścia, pomyślałem sobie, napawa serce sędziwego ojca, gdy w rodzinie panuje zgoda i miłość, takim uczuciem żywi się naród, dopóki zawiść i prywatata pojedynczych nie zamąci czystych uczuć jego i nie podzieli go na ścierające się z sobą stronnictwa.

Pan Jędrzej, staruszek o siwych włosach, siędział w dużem krześle blisko wielkiego ołtarza. Postać jego poważna i stroskana, krzesło wysokie o misternych, starożytnych rzeźbach i jakaś tajemnicza aureola, która go otaczała, wszystko to przypominało mi mimowolnie jednego z owych królów naszych, któremu troska o dobro narodu twarz pomarszczyła i włos zawcześnie zbieliła. Miał ręce kornie złożone, usta jego poruszała modlitwa do Boga miłości; zapewne prosił Go o zgodę dla swojej rodziny.

Za nim w ławce kolatorskiej siedziały panie. Nie miały one na sobie szat wykwintnych, ale prze-



cież nie był to ubiór codzienny. W dawnych bo-  
wiem czasach inaczej pojmwano kościół i modlitwę.  
Idąc do domu Bożego, brały na siebie nasze kobiety  
strój okazalszy, bo były tego zdania, że tym sposo-  
bem oddają cześć swemu Panu i Stwórcy. Dlatego  
też każdy strój wykwintniejszy nazywa się u nas  
*świętocczym*, a kontusz wielkanocny miał w rodzinie  
wysokie znaczenie. Dzisiaj mówimy: strój balowy,  
wizytowy, ubranie na wieczór, koncert lub do teatru,  
a do Pana Boga idziemy w tych szatach codzien-  
nych, któremi wycieramy kąty kramów publicznych  
przy sprawunkach przedobiednich. Wprawdzie stro-  
jenie się do domu Bożego ma tę złą stronę, że pod-  
nieca próżność i myśli światowe wprowadza do przy-  
bytku Boga, więcej jednak korzyści dla serc naszych  
przynosiła ta dawna polska uroczystość, z jaką przy-  
chodziliśmy do domu modlitwy, niżeli ta dzisiejsza  
wystudyowana, sztuczna pokora, z jaką w powa-  
bnych negliżach wchodzą dzisiaj kobiety do świątyni  
Pańskiej.

To też pani Jędrzejowej bardzo do twarzy by-  
ła szuba szafirowa z tkaniny lugduńskiej, czepiec  
z czarnego aksamitu przy białym kornecie doskonale  
się wydawał, a sześć sznurów koralii czerwone rzu-  
cały światło na otwartą książkę, na której właśnie  
czytała pobożna kolatorka. Ręczę wam, że mimo  
tego bogatego stroju, nie miała była pobożność w du-  
szy tej polskiej matrony, a może większa pokora

przed Panem Zastępów od niejednej dzisiejszej poku-  
tnicy w szarym szlafrocuku *à la religieuse*.

Panna Pulcherya miała już trochę więcej świa-  
towej pretensyi. I nie dziw. Stara panna jest to jak  
człowiek, który spał lat kilkanaście i potem nagle  
się obudził. Włosy mu zbieleły, twarz okryła się  
zmarszczkami, ale w głowie jego pozostały te same  
jeszcze myśli, z jakimi spać się położył, i w sercu  
te same młode pragnienia, z któremi zasnął przed  
laty kilkunastu. Panna Pulcherya od pierwszych  
marzeń swoich nie postąpiła dalej ani kroku. Kilk-  
naście lat ubiegło, jak sen przesunęła się martwa  
rzeczywistość przed jej oczyma, nie otarłszy się o jej  
marzenia, nie zdmuchnąwszy z nich wiosennego pyłu,  
jakim oprószone są skrzydła motyle. Czas odle-  
ciał, włos zbieleł, twarz pożółkła, ale w jej sercu  
nic nie tknęło tego pyłku wiosennego, pozostał on,  
jakim był przed trzydziestu laty. To też dziwna  
dysharmonia była w całej postaci panny Pulcheryi. Na  
głowie miała kwiatki i kwiatuszki, czółko seledynowe  
z czerwonymi wstążkami, a tuż poniżej żółta w sza-  
franie farbowana chusteczka obwiązywała jej twarz  
wyschłą, po jednej stronie nieco opuchłą. Panna  
Pulcherya cierpiała często na fluksyę. W całym jej  
stroju walczyła zalotność młodziutkiego serca ze sta-  
rością ciała.

Panna Anastazyja była świeżo i stosownie do  
swego wieku ubrana. Widać tam było rękę matki,



która przy myślach pobożnych i o tem nie zapominała, że w dom zjechał konkurent. Tylko te piękne doleczki na różowej jej twarzyczce nie bardzo stosowały się do „Złotego Ołtarza”, ale trudnoć było w domu je zostawić, kiedy się o tem wiedziało, że i pan Marcin będzie na rannej mszy świętej.

I w samej rzeczy nadszedł pan Marcin. Był to chłopiec jak malowany, czerwonego oblicza, czarnych wąsów i więcej niż średniego wzrostu. Ubiór jego był przyzwoity, chociaż nie bardzo wykwintny, a silna postać okazywała, że zawczasu wprawił się do pracy i mniej myślał o zaletach swojej powierzchowności, chociaż te i tak były niepoślednie. Poczciwość i otwartość patrzyła mu z dużych błękitnych oczu, którym miałbym tylko to do zarzucenia, że zamiast Świętych Pańskich, szukały czempredzej rumianej twarzyczki panny Anastazyi i w tych niepozyciwych dołkach całkiem utonęły. Było to wprawdzie wobec Boga grzechem niemłym, ale że grzechy podobne nie często się w życiu człowieka powtarzają, to jakoś można je potem odpokutować, mianowicie, jeśli te twarzyczki różowe ze swemi zalotnemi dołkami przemienią się po ślubie w furey żywota naszego, o czem także wiele miałbym do opowiadania.

Z synów pana Jędrzeja jeden pan Kajetan był starannie wyświeżony. Postawił sobie kołnierz od koszuli aż pod sam nos i z takim zadowolaniem uśmiechał się do jakichś myśli swoich, iż mógłbym

go śmiało posądzić, że myślał o zadartym do góry nosku panny Klary, chociaż ta, jak każda biedna sierota na tym świecie, z pokorą główkę pochyliła i zdawało się, że prócz Boga i opiekunów swoich, nic wkolo siebie nie widziała. Makary był dosyć zaniedbany, jak każdy uczony człowiek, który więcej nad dobrem ludzkości niżeli nad swoją kapotą przemysłliwa.

Oglądałem się po całym kościele, mojej Basi, pana Sylwana i Krzysztofa jeszcze nie było. Onufry, karbowy księdza Ignacego i jedyny jego ministrant, wyglądał kilka razy z zakrystyi, i patrzył po całym kościele. Widocznem było, że ksiądz Ignacy czekał na nich ze mszą, a najbardziej, zdaje mi się, na pana Krzysztofa, nad którym radził mu Onufry (jak się później dowiedziałem) przeczytać *eripe me Domine*, to jest modlitwę, którą zazwyczaj czyta exorcysta nad głową opętanego.

Teraz weszła moja żona do kościoła. Była całkiem popielato ubrana jak Popielec, który dawniej w dyalogu z Wtorkiem zapustnym miał ważną rolę w reprezentacjach klasztornych. Zrazu podobala mi się ta skromność i pokora mojej Basi. Popielaty szarafanik, popielata przyjaciółka, popielaty czepiec i rękawiczki tegoż samego koloru bardzo ładnie i skromnie ją ubierały. Dowiedziawszy się jednak przy obiedzie, że po ten strój popielaty musiał Sobek cwalem do Olszowy pędzić, przyczem panu Jędrzejowi dere-sza ochwacił, a pani Rogatyńska aż zamek od kufra



odbiła, aby zachceni pobożnej żony mojej dogodzić. Pokiwałam na to głową i byłem pewny, że otwierając jutro „Złoty Ołtarzyk“, znów wypadnie mi „modlitwa w utrapieniu“. Jakoż w istocie tak było.

Razem z moją żoną wszedł pan Sylwan, niecnota, i musiał coś bardzo krotochwilowego mojej Basi przez drogę prawić, bo zaledwo na widok św. męczennika Wawrzyńca, którego obraz był w wielkim ołtarzu, mogła się od śmiechu wstrzymać i twarz swoją nastroić do modlitwy. Sylwan miał na sobie krótką kurtkę z jakiejś kraciastej materii. Poznałem po jego zachowaniu się, że należy do rzędu tych ludzi, co to myślą, że Boga nie ma w kościele. Głupcy, oni Go tylko w swoim sercu nie mają.

Już trzy razy wyglądała z zakrystyi kędzierzawa Onufrego głowa, a nawet ksiądz Ignacy dwa razy na ławkę klasztorną spojrział, a pana Krzysztofa jeszcze nie było. Wreszcie ktoś przed drzwiami głośno odkrzyknął, splunął, a gdy mimowolnie do drzwi się obróciłem, obaczyłem wchodzącego do kościoła pana Krzysztofa.

Dziwne wrażenie uczynił na mnie ten człowiek. Teraz dopiero mogłem bliżej mu się przypatrzeć. Był słusznego wzrostu, chudej figury, mógł mieć lat sześćdziesiąt. Resztki włosów jeżyły mu się na głowie, która miała kształt wilczej. Coś okropnego było w jego wejrzeniu. Toczył oczyma w około, a nigdzie niemi nie spoczął. Zdawało się, że jak wilk krwi chciwy, szuka przedmiotu, na który mógłby się rzucić.

Ale to wszystko mogło być uprzedzeniem z mojej strony. Tyle dziwnych rzeczy słyszałem wczoraj o nim, że wyobraźnia moja mogła bardzo łatwo widzieć to, czego w rzeczywistości nie było. A przecież nietylko na mnie zrobił ten człowiek tak przykre wrażenie. Widać było, że i stary Onufry uległ temu samemu, co i ja, wrażeniu, bo stojąc przy progu zakrystyi, nakręcił ucha chłopcu mszał trzymającemu i przy wyjściu księdza Ignacego aż dwa razy zadzwonił, chociaż to była msza cicha.

Pan Jędrzej kiwnął ręką na pana Krzysztofa, aby usiadł obok niego w dużym krześle, w takim samym, w jakim on siedział. Pan Krzysztof jednak pokręcił głową i został przy drzwiach, jak ów celnik, który rzekł: Panie, nie jestem godzien, abym się zbliżył do Ciebie. Widząc to, pomyślałem sobie: Żyją ludzie, którzy jak ów faryzeusz biblijny wypychają się przed majestat boży, wołając: Panie, my nie jesteśmy jak owi celnicy; ale stokroć gorszym jest człowiek, który z pychą i herezyą w duszy staje przy drzwiach kościoła i jako oblesny świętoszek mówi: Niegodny celnik jestem, a tymczasem myśl w sercu, coby tu skorzystać można.

Jakie myśli w tej chwili miał pan Krzysztof, tego nie wiem, to jednak pewna, że mnie ogarnął jakiś strach tajemny. Zwróciłem oczy na wielki ołtarz i gorąco zacząłem się modlić.

Przy końcu każdej modlitwy mimowoli patrzyłem



na pana Jędrzeja. Twarz jego spokojna, oczy szukające gdzieś w górze Boga miłości, świadczyły o wewnętrznym szczęściu jego. On nie prosił, ale dziękował Bogu za zgodę i miłość w rodzinie i tak się jakoś cały w tej dziękczynnej modlitwie rozplątał, że w tej chwili żyćby przestał, gdyby mu kto jego wiarę w zgodę i miłość rodzinną odebrał. Westchnąłem i coraz goręcej modliłem się do Boga, który czyta przyszłe losy nasze.

Inaczej na tę całą scenę patrzył stary Onufry. Przy każdej godziwej sposobności oglądał się na Łościół. Był pewny, że podczas Ewangelii ujrzy z ust pana Krzysztofa wylatującego złego ducha, jeśli nie w psiej postaci z końskimi kopytami, to przynajmniej w postaci nietoperza, jeżeli mu tak wygodniej wylaływać. A gdy ta katastrofa podczas Ewangelii nie nastąpiła, odłożył ją do *Sanctus*, w mniemaniu że głos święconego dzwonka zmusi dyabła do ewakuacji swojej dzierzawy. A gdy to nawet przy *Agnus Dei* nie nastąpiło, złożył wszystko na księdza Ignacego, który rad jego nie usłuchał i złego ducha ostrzejszymi środkami wypędzić nie chciał.

I tak skończyła się msza cicho i bez exorcyzmu. Każdy z obecnych wyniósł z sobą wiarę w zgodę i jedność, tylko stary Onufry był tego zdania, że dyabeł został i to w samej gardzieli pana Krzysztofa, dokąd już się był do wyjścia wysunął. I może też najsluszniej sądził poczciwy Onufry. Prostaczkowie widzą częstokroć czystem sercem swoim dalej, niż

my rozumem. Opowiadają tylko te widzenia innemi od nas słowy.

Wyszedłszy z kościoła, przekonałem się, że przecież nie tak źle musi być z panem Krzysztofem, jak to sobie obaj ze starym Onufrym podczas mszy świętej wyobrażaliśmy. Pan Krzysztof był dobrej myśli, że wszystkim przywitał się jak najserdeczniej. Dziwił się, że panna Anastazyja tak sporo już podrosła i tłumaczył się chorobą umysłu, która nie pozwalała mu widzieć się z rodziną swego krewnego. Pannie Pulcheryi tyle ładnych nagadał rzeczy, że się jak alkiermesz zarumieniła i zalotnem oczkiem w koło siebie spojrzała. Do stało się przytem i synom pana Jędrzeja, których uściskał z całą serdecznością bezdietnego krewnego, mającego zamiar zostawić po sobie znaczny majątek. I biednej sierocie coś się okroiło. Pan Krzysztof powiedział kilka słów o Kajetanie, którego wysokie kołnierzyki stały tuż za nią, a powiedział to z tak dziwnym akcentem, że Kajetan po brodzie się musnął, a panna Klara oczęta w ziemię spuściła.

A gdy ksiądz Ignacy w nowej, świątecznej sutannie do nas się przyłączył, zawołał pan Jędrzej ekonomów i karbowych i rozkazał im, aby się na dzisiaj od wszelkich mniej pilnych robót wstrzymano. Z lamusu kazał wytoczyć kilka beczek piwa, aby czeładka trochę się rozweseliła, a nas wszystkich zaprosił do sali makatowej, gdzie suto był już stół dla nas zastawiony.



Korzystając ze sposobności, wymknąłem się z sali, w której jeszcze kobiet nie było, aby na osobności mojej żonie rękę ucałować, jak to od niejakiego czasu na dzień dobry czynić zwykłem. Ale już to jakieś fatum prześladowało mnie w tym domu w moich afektach. Nietylko, że życzeniu memu nie stało się za- dość, ale zostałem srodze ofukniętym, że zabieram jej czas potrzebny do zmiany tualety.

Przebywszy te i jeszcze inne mniej ważne wydarzenia przedobiednie, do których także należało, że pan Sylwan aż dwa razy moją żonkę w rękę pocałował, a ona na to jak najchętniej przystała, przystąpiliśmy wreszcie do obiadu, który miał być pamiętym na długie czasy w rodzinie pana Jędrzeja.

A gdy stare winko już sporo i serca i czupryny nam rozgrzało, a nawet i panię, pomaczawszy kilkakrotnie usta w kieliszkach, żywszej nabrały cery, wstał pan Krzysztof i donośnym zawołał głosem:

— Do ciebie mówię naprzód, waszmość Jędrzeju! Widzę, że chcesz, abym sam pierwsze powiedział słowo. Niechże i tak będzie. Obiecałem zapisać ci cały mój majątek, otóż chcę to uczynić wobec twojej rodziny.

Na co ozwał się pan Jędrzej:

— Bóg mi świadkiem, że na to słowo twoje bynajmniej nie czekałem. Już szczęściem mojem jest, że cię widzę wśród mojej rodziny, a jeśli nam swoje serce zapiszesz, to podziękuję Bogu jako za najwyższe dobrodzieństwo jakie.

Wyżółkła twarz pana Krzysztofa zadrgała jakimś szyderyczym uśmiechem, ale prędko ovladnął sobą, zwalczył złego ducha, który w tej chwili coś mu podszepnął, i wyciągając rękę do pana Jędrzeja zawołał:

— Przyjaźń wasza jest dla mnie wielkim skarbem, tem większym, że na nią nie zasłużyłem. Toż rad jestem choć w części za nią wam się odplacić. Cóż wam więc mogę dać?

— Serce, serce, panie Krzysztofie! — zawołało kilka głosów naraz.

— Żądacie odemnie rzeczy, której nie mam! — odparł pan Krzysztof i tak zimnym wzrokiem patrzył dokoła, że nam wszystkim zrobiło się nagle zimno. Każdy z nas mimowoli musiał uwierzyć, że kto tak patrzy, ten musi mieć lód w sobie. A gdy na tę dziwną odpowiedź pana Krzysztofa wszyscyśmy po sobie spojrzeli, jakoby pytając się wzajem, co te słowa znaczą, usiadł pan Krzysztof z twarzą zadowolona i rzekł:

— Serca wam nie dam, bo go nie mam, ale dam to, co mi mój ojciec w puściźnie zostawił.

Jakoś markotno zrobiło mi się, bo właśnie w tej chwili przyszło mi na myśl, że pan Krzysztof jest z rodu Sicińskich.

Co sobie zaś Boleszczyccy przy tem myśleli, tego nie wiem, ale to pewna, że słowa pana Krzysztofa zrobiły na wszystkich jakieś niemiłe wrażenie. Niejaki czas trwało milczenie, bo nikt, a nawet ksiądz Ignacy



nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Widać było po uśmiechniętej twarzy pana Krzysztofa, że wewnątrz tryumfował.

— Odpowiedź moja może zadziwia was—mówił po chwili—ale przecież z całego mego względem was postępowania mogliście wnosić, że serca nie mam.

W tych słowach było coś tak tragicznego, że każdy z nas jakoś się zamyślił i głucho milczenie panowało wokół. I w samej rzeczy, pan Krzysztof wyglądał w tej chwili, jak człowiek bez serca. Trupia, posągowa bladeść była na jego licach, z pod siwych brwi patrzyło zimne, szydercze oko. Pierwszy przyszedł do siebie ksiądz Ignacy i rzekł:

— Już to waszmość, panie Krzysztofie, mówisz pod figurą, a kobiety aż poblady ze strachu, bo im się zdaje, że w samej rzeczy w twojej piersi nie ma serca, tylko jakieś *vacuum*. A przecież uczy nas doświadczenie, że najgorszy zbrodniarz jeszcze serca nie traci. Są chwile, w których ono się odzywa. Panie Krzysztofie, co cię tu wiodło przez lat dziesięć w wigilię św. Floryana?

Pan Krzysztof uśmiechnął się, machnął ręką i w te ozwał się słowa:

— Dyspucie daj pokój, księżę Ignacy, bo ona nigdzie nas nie zaprowadzi. Że serca nie mam, to rzecz łatwa do wytłumaczenia. Czytałem w jakiejś starej książce, że serce rośnie u dziecka w uściskach matki. Gdy matka dziecię do łona przytula, lub gdy ojciec

je całuje, wtedy rozszerza się to serce i wciąga w siebie pieśczęoty matki i pocałunki ojca. W późniejszym życiu oddaje je przyjaciółom i własnej rodzinie. Cóż ja oddać mogę, jeśli od nikogo nic nie wzięłem?..

Spojrzałem teraz na pana Krzysztofa. Twarz jego była jakoś tak piękną w tej chwili, żebym go wcale nie był poznał.

— Serca mego nie ogrzały pieśczęoty rodzicielskie — mówił dalej, z tymże samym pięknym wyrazem na twarzy — obca piastunka karmiła mnie, obcym do mnie przemawiała językiem. Świat mnie zawiódł, ludzie odemnie uciekli...

Pan Krzysztof zamilkł, coś straszego, jak błyskawica zwiastująca piorun, przemknęło po jego twarzy. I nagle znikł gdzieś ten chwilowy piękny wyraz jego twarzy, usta wykrzywiły się szyderczym uśmiechem, ożywiona źrenica zagasła, jakby ją dym jakichś niedogarków zasłonił. Gdybym był starym Onufrym, uwierzyłbym, że w tej chwili wszedł znów szatan w pana Krzysztofa, którego na krótką chwilę był odstąpił.

Wychyliwszy duszkiem szklankę wina, zaśmiał się śmiechem przeraźliwym i rzekł:

— Romanse, romanse, panie Jędrzeju, nic więcej! Gdyby ktoś nas podsłuchał, myślałby, że jaką powieść sentymentalną układamy. Przystąpmy do rzeczy.

Wszyscy milczeli, a nawet Sylwan niecnota, który, mówiąc nawiasem, koło mojej żony siedział,



także zamilkł i coś mocno się zamyślił. Pan Krzysztof mówił dalej:

— Opuszczając wszelkie niepotrzebne dekoracje, jako ludzie dojrzały, przystępuję wprost do słowa, którego wszyscy pragniecie. Zapisuję wam „Złotą Górę!“

— Krzysztofie, panie Krzysztofie! — zawołało kilka głosów naraz.

Pan Krzysztof uśmiechnął się brzydtko i mówił dalej:

— Oto widzicie, co ludzi w ekstazę wprowadzić może. A więc dajmy pokój sercu, jeśli kilkanaście włók ziemi, kilka szop i karczma przy krzyżowej drodze tak miłą sprawiają emocję. Człowiek chce być faryzeuszem sam dla siebie. Po co to?

Twarz pana Jędrzeja poczerwieniała jak paś, podniósł się z krzesła, wystawił prawicę, jakby do przysięgi, i zawołał:

— Oto klnę się na Boga, że w sercu mojem nigdy nie powstało pragnienie sukcesji po tobie, kochany Krzysztofie, i jeśli szczerze myślisz o zgodzie, nie mów więcej o „Złotej Górze“.

Pan Krzysztof zaśmiał się, spuścił oczy na talerz i mówił, nie zważając na pana Jędrzeja:

— „Złota Góra,“ według ostatniego wyrachowania, ma sześćset morgów ornego gruntu, dwieście łąk, a pięćset lasu. Są wprawdzie w dolinach mokre pola, ale jakie takie rowy, a plon będzie nie-szpetny. Trzy karczmy, z których jedna na krzyżowej drodze, niesie tysiąc złotych. Dwa młyny i tartak także coś znaczą. Suma summarum można

mieć dochodzik czysty do sześciu tysięcy, a jeśli kto zechce poforsować, to i więcej.

— Krzysztofie! — chciał mu przerwać pan Jędrzej

— W sąsiedztwie — mówił dalej pan Krzysztof — jest ładna, bogata panna.

Przy tych słowach widziałem, jak panna Klara nagle zbladła i na Kajetana twożliwie spojrzała. Amilkar podkręcił wąsika, a Sylwan i moja żona spojrzeli także po sobie.

— Jest ładna, bogata panna — ciągnął dalej pan Krzysztof z szatańskim uśmiechem — o kilka małych milek mieszka pan Alfred, stryj pana Karola, u którego tenże często bywa.

Tu spostrzegłem, że pan Marcin jakoś dziwnie na pannę Anastazyę spojrzał, a ona lekko się zarumieniła. Ciocia także się coś uśmiechnęła i z ukosa zerknęła na swoją elewkę. Tylko pan Kajetan pozostał niezmienny. Patrzył w pannę Klarę, jak w tęczę, i muskał się po brodzie.

— Jest także i przyległy mająteczek — mówił dalej pan Krzysztof — którego właściciel jest zadłużony. Tanim kosztem można go nabyć i „Złotą Górę“ zao-kraślić. Czas, aby Boleszczyccy przyszli do dawnego splendoru.

Po wszystkich twarzach przemknęło jakieś jedno i to samo uczucie. Pan Jędrzej był tylko błydy i zdawał się zmartwionym.

— Ty nas nie kochasz, Krzysztofie — wyrzekł smutno.



— Słowa tego nie żądam odemnie — poderwał szybko pan Krzysztof — ale zważ, co czynię dla was. „Złota Góra“ z wszelkimi temi nadziejami, które się do niej wiążą, jest waszą. Cóż chcesz więcej odemnie?

— *Satis, satis* — zawołałem, wstając, bo mi już żal było pana Krzysztofa — nie dręczcie się darenie nie wymówkami. Obaj macie szlachetne serca i tylko drażnicie się wzajem. Co było, już się zapomniało. Szlachetny czyn pana Krzysztofa świadczy o jego szlachetnym sercu, a że się niby do niego nie przyznaje, to czyni to jak piernik toruński, który zrazu uszczyplnie w język, a potem słodyczą gębę napelni.

Mowa moja tak się wszystkim podobała, że *unanimiter* powstali i pana Krzysztofa serdecznie wycalowali, nie excypując i kobiet, które się porządnie splakały.

Pan Krzysztof wszystkim był rad, jak człowiek, który wielkiego dokonał dzieła, a uwolniwszy się od uścisków, zawołał:

— Do Syberyi mógłbym bez futra pojechać, tak mnieście rozgrzali waszemi afektami, ale na tem jeszcze nie koniec. To, co teraz nastąpi, jest najciekawsze ze wszystkiego, oraz największą sprawi wam radość.

Wszyscy spojrzeli po sobie. I mnie zebrała ciekawość niemała.

— Dzisiaj mamy świętego Floryana — mówił dalej pan Krzysztof — dzisiaj, według testamentu, mam wypełnić wolę mego ojca.

Oslupiliśmy z zadziwienia. Teraz dopiero wyjaśniło nam się dzisiejsze postępowanie pana Krzysztofa.

— Jakaż jest ta ostatnia wola ś. p. Floryana? — zapytali wszyscy.

Pan Krzysztof uśmiechnął się, a spojrzawszy wokoło, mówił zwolna:

— Dziwną, nader dziwną jest ta ostatnia wola mego ojca. A przecież od wypełnienia jej zależy wasze posiadanie całego majątku i tego, o czem nawet nie wiecie.

Spojrzeliśmy znów po sobie. Mowa pana Krzysztofa kryła dla nas tajemnicę.

— Mów, mów panie Krzysztofie — zawołał pan Jędrzej z wyteżoną ciekawością.

— Tu nie — odparł pan Krzysztof — !o w testamencie mego ojca są rzeczy, które przed światem mają być tajemnicą. I tak jakoś pochłodziła na dworze, po obiedzie przejdziemy zapewne do szarej komnaty. Tam, przy pryskającym ogniu opowiem wam rzeczy, które was jeszcze więcej zadziwią, niż moja dzisiejsza metamorfoza, w którą, jak widzę, dotąd pan Jędrzej nie wierzy.

Pan Jędrzej wstał, aby Krzysztofa uściskać, a pani Jędrzejowa zawołała służbę, aby w szarej komnacie wszystko do poobiedniej pogadanki przygotować.

Na twarzach wszystkich malowało się wielkie oczekiwanie.



## VI.

## T e s t a m e n t .

W szarej komnacie już pryskał ogień na kominku. Jakaś miłsza i cieplejsza owionęła nas atmosfera. Usiedliśmy wszyscy rzędem, pan Jędrzej i Krzysztof zajęli miejsce najbliższej ogniska. Siedziałem obok gospodarza, naprzeciw pana Krzysztofa. Mogłem więc dobrze w niego patrzeć, gdy opowiadał. Czasami tylko przeszkadzał mi konterfekt w czarnych ramach, który tuż nad głową pan Krzysztofa wisiał i mimowolnie moje oczy do siebie przyciągał.

Zaraz z góry zaczął pan Krzysztof:

— Widzę po twarzach obecnych, że śmiało mówić mogę o ostatniej woli mego ojca. Wszyscy jesteście sobie krewni, bo i pan Marcin, jak slyszalem, należy już sercem do rodziny.

Na to spłonęła panna Anastazyja jak alkiermesz, a pan Marcin zerwał się z krzesła i koleją ucałował rękę panu Jędrzejowi i jego małżonce, a potem cioci Anastazyi i panu Krzysztofowi, chociaż ostatni mocno się wzbraniał. Pan Jędrzej uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł:

— Panu Marcinowi jeszcze przed obiadem dałem naszą odpowiedź, lecz markotno mi przytem było, dowiedziawszy się, że już ktoś przed nami łaskawie mu odpowiedział.

Panna Anastazyja zapłonila się i aby jakoś wyjść z zakłopotania, wstała i rodzicom rękę ucałowała. Biedaczka, tak się zmieszała tą przymówką ojca, że napowrót drogi do swego krzesła znaleźć nie mogła. Snać pochlebialo to konkurentowi, bo oczu od niej oderwać nie mógł. I mnie też śliczną wydała się panna Anastazyja w tej chwili. Ładna będzie z nich para, pomyślałem sobie, będzie i szczęśliwa, jeśli je łączy miłość.

Gdy się już wszyscy uspokoili i panna Anastazyja za pomocą cioci napowrót na swoim krześle usiadła, ozwał się ksiądz Ignacy:

— Jakkolwiek każdy kapłan umie szanować tajemnice rodziny, jednak...

— Proszę nam nie ubliżać, księżę Ignacy — przerwał pan Jędrzej — wszak bez ciebie nic ważnego nie stało się w domu moim.

I pan Krzysztof kiwnął na to głową, jakoby zgadzał się z tem, co pan Jędrzej powiedział, ale ukośne jego spojrzenie coś niedobrego wróżyło szanownemu kapłanowi.

— A więc, gdy niema nikogo z obcych między nami — począł pan Krzysztof — to zaczynam moje opowiadanie, które wam ciekawe odsłoni rzeczy.

Zrobiwszy tu małą pauzę, tak mówił dalej:



— Muszę się cofnąć w najmłodsze lata moje i zacząć od tego samego kominka, przy którym właśnie siedzimy. Matka odumarła mnie, gdy byłem dziecieniem, nie pamiętam jej. Karmiono mnie i hodowano jak szczenię i widać, że to wystarczało memu ciału, bo za kilka lat wyrosłem sporo i zdrowo. Lata moje najmłodsze przepędzałem na igraszkach z psami — ojca rzadko widywałem. Tylko w wigilię świętego Floryana lubił on siadywać przy tym kominku i wtedy tylko obok ulubionego wyżła, mogłem siedzieć na kolanach ojcowskich.

Pan Krzysztof zamilkł na chwilę i spojrzął zamysłony w przyskający ogień. Przelotne jakieś uczucie przemknęło po jego twarzy. Po chwili zaczął znów:

— Mój ojciec rzadko był w domu. Po całych dniach krzątał się koło gospodarstwa, stał przy robocie, a czasami znów, zdawszy wszystko na ekonomów, odjechał gdzieś bez wieści i kilka tygodni w domu nie był. Gdy wrócił, był rozdrażniony, krzyczał i hałasował i wszystkich o niewierność posądzał. To też wielkie było zmartwienie we dworze, gdy kazał do skarbniczka zaprzęgać. Wszyscy wiedzieli, że za powrotem nastąpi wielka burza.

Zdawało mi się, że konterfekt w czarnych ramach uśmiechnął się przy tych słowach. Odwróciłem od niego oczy i słuchałem dalej:

— Miałem już ośm lat — ciągnął dalej pan Krzysztof — i ciekawie słuchałem domowników, jeśli coś so-

bie opowiadali. A jednak rozmowy ich były wtedy dla mnie niezrozumiałe, dopiero później wyświeśliło mi się wiele rzeczy. Stary Fedor, poufny kozak mego ojca i towarzysz wszystkich jego wycieczek, opowiedział mi razu jednego, że mój ojciec jeździ w góry Karpackie do jakiegoś szlachcica, którego wieś zwie się „Złota Góra“.

Nasza ciekawość rosła coraz bardziej. Pan Krzysztof uśmiechnął się i prawir dalej:

— Wiadomo wam, że w naszym rodzie są Sicińscy. Głupi gmin przywiązuje coś do tego imienia, co właśnie sprzeciwia się naszym szkolnym pojęciom o dobroci i sprawiedliwości Boga, nieprawdaż księżę Ignacy?

— Rozum nasz nie sięga za próg wyroków Boskich — odparł ksiądz Ignacy.

— Wiem, wiem, co dalej powiesz — przerwał mu żartobliwym tonem pan Krzysztof — wiem, że powołasz się na Mojżesza, a nawet zapukasz do ojców Kościoła, ale to wszystko nie należy do rzeczy. Czy Siciński, nasz praojciec, tak wiele zawinił, że na stole karczemnym ową historyczną napisał cedulkę, która szlachcie wspólnie działać nie dała, dlaczego opinia kilku wieków stawia go na pręgierz dla pokajania tych wszystkich, którzy chcą mieć własne, niezawisłe zdanie, dlaczego wreszcie utrzymują, że rozum zbiorowy jest wyższym nad rozum pojedynczego człowieka — tego nigdy zrozumieć nie mogłem, chociaż nieraz w życiu te pytania sobie zadawałem.



Pan Krzysztof spoczął tutaj i z wyrazem pewnego pietyzmu spojrzął na konterfekt swego przodka, który wisiał nad jego głową. Pan Jędrzej westchnął żałośnie. Zdawało mi się, że słyszałem w tem westchnieniu słowa: krew Sicińskiego! — Wyprzedził nas wszystkich pan Makary, bo zaperzywszy się, zawołał:

— Jakto, panie Krzysztofie, toż Siciński nie był złym człowiekiem? Prawda przed afektem! I w nas jest krew Sicińskich, mimo to nie trzeba rzeczy w bawelnę obwijać. Co historia napiętnuje, to już takim zostanie. Siciński przeszedł w myt narodowy i oznacza największego naszego nieprzyjaciela. Potomkowie Sicińskiego mogą być najcnotliwsi, ale duch jego wlaźł w organizm narodu i rozszarpuje go na stronnictwa. Ten i ów ma w ustach dobro powszechne, stawia się na straży najwyższych interesów naszych, spycha ztamtąd innych, obrzuciwszy ich błotem po twarzy, ale gdy do jego duszy zajrzemy, obaczymy tam błoto najobrzydliwsze. Bo niech tylko inni przyjdą i obok niego wspólnie i szczerze dla dobra powszechnego pracować zapragną, to ich kopnie nogą i błotem obrzuci. Dlaczego? Bo się trzeba z nimi podzielić zasługą, a ten i ów chce ją mieć sam dla siebie lub, co jest najobrzydliwsza, z najświętszych obowiązków chce ciągnąć dla siebie korzyści. W tym to celu napisałem książkę, w której okażę, jak wielu dzisiaj mamy Sicińskich, którzy dla osobistej korzyści, częstokroć dla licznego grosza, rozrywają węzły zgody i jedności, bez której nigdy nic się nie osiągnie!

Skończył Makary i otarł pot z czoła. Mówił gorąco i z niezłą swadą. To też nawet zdawało się, że nas rozgrzał i że wszyscy wtórowaliśmy w duchu temu, co mówił. Pan Jędrzej wielce był ucieszony wymową syna, tylko pan Krzysztof słuchał jego perory z szyderyczym uśmiechem, a nawet z czegoś wewnętrznie się radował.

— Ładne kazanie powiedziałeś, kochany Makary — ozwał się pan Krzysztof — i trafny jest twój sąd o Sicińskich. Nie po tem imieniu trzeba ich szukać między nami. Jesteśmy nimi wszyscy, jeśli serca nasze oświadczyły korzyść osobista.

Wymówiwszy te słowa, takie szyderskie i złośliwe spojrzenie rzucił na pana Makarego, jakby go chciał wskroś przebić. Makary wcale tego nie widział. Rozkoszował się on w duchu udatną perorą swoją, którą był właśnie wyrecytował. Niemiło było nam wszystkim, że rozmowa zesłała na przedmiot dla pana Krzysztofa tak drażliwy. Nie nasza w tem wina, sam ją z drogi sprowadził.

— Wróćmy do rzeczy, panie Krzysztofie — ozwał się pan Jędrzej, chcąc mu dopomódz — a Sicińskim dajmy pokój, na który już dawno sobie zasłużyli.

— Tak jest, dajmy im pokój — poderwał pan Krzysztof — chociaż głupi gmin wiecznie z grobu ich wywleka... A więc czy słusznie, czy niesłusznie to się dzieje, że o Sicińskich zawsze coś mówić muszą, a może też i ja dlatego czterdzieści lat procesowałem pana Jędrzeja, że gdzieś tam mam kroplę krwi Siciń-



skich... dosyć, że ja się poprawiam, a pragnę, aby przy danej sposobności nie popsuli się ci, którzy dzisiaj mają w uściech złote słowa prawdy... Koniec końców, ludzie muszą kogoś obgadywać, a więc obgadują z pokolenia w pokolenie tego, którego już przed nimi obgadywano. I tak tradycya o Sicińskich ciągnie się z dalekiej przeszłości jak ogon komety i dochodzi aż w nasze czasy. Otóż dlatego, że mój ojciec był z rodu Sicińskich, różnie mówili o nim ludzie. Mianowicie jego odosobnienie od świata i częste gdzieś wycieczki, z których powracał w jak najgorszym humorze, tłumaczono sobie w różny sposób. Jedni mówili, że każdy Siciński pokutować musi za swawolę posła upitskiego, czy raczej, że ś. p. poseł upitski w ciele potomków swoich przez dziesięć wieków pokutować musi i bić się przez wszelkie szeregi życia ludzkiego. Drudzy byli tego zdania, że mój ojciec dyabłu się zaprzedał i od czasu do czasu jedzie do niego w służbę, wyjąwszy dzień świętego Floryana, w którym święty patron czuwa nad nim i od wszego złego broni.

Z niemałym zadziwieniem spojrzeliśmy wszyscy po sobie, bo to był właśnie dzień świętego Floryana. Pan Krzysztof uśmiechnął się, jak człowiek, który dzieciom jakąś ciekawą opowiada bajkę, i tak mówił dalej:

— Takie to i tym podobne androny pletli sobie ludzie o moim ojcu. I ja, choć byłem małym jeszcze, zasłyszałem coś z tego. Mózg dziecka jest miękki i wrażliwy, otóż wszystko to odciskało się tam i rosło

w domysły najdziwaczniejsze. A gdy mi Fedor o „Złej Górze“ i jakimś dziwnym szlachcicu opowiadał, zapalała się moja wyobraźnia coraz więcej tak, że już w nocy i we dnie spoczynku nie miałem. Otóż najgorętszym pragnieniem moim stało się wkrótce zadość.

Pan Krzysztof spoczął i powiódł okiem po całym zgromadzeniu. Ucieszyła go naprężona ciekawość nasza, więc ozwał się znów w ten sposób:

— Była to właśnie wigilia świętego Floryana. Ojciec mój wyjechał był przed tygodniem, a nikt nie wiedział, gdzie i dokąd. Na świętego Floryana był jednak zawsze w domu. Tym razem musiało go coś zaskoczyć. Nadszedł już wieczór, stara Małgorzata zapaliła na kominku w szarej komnacie, siadła na ławie i razem ze mną czekała przybycia ojca.

— A ojciec nie przyszedł! — zawołał pan Kajetan, a oczy mało mu nie wyskoczyły z ciekawości.

Pan Krzysztof uśmiechnął się i prawił dalej, nie zważając na zapytanie poczciwego Kajetana:

— Wieczór był burzliwy, taki sam jak wczoraj. Po niebie toczyły się czarne, ogniem ziejące chmury, wichur wywracał odwieczne lipy i kasztany i z łoskotem łamał ich gałęzie, sztuki muru odlatywały z komina i z hukiem grzmotu sunęły się po dachu. Stara Małgorzata żegnała się nieustannie i modliła, a ja stanąłem przy oknie i z jakąś niewysłowioną rozkoszą przysłuchiwałem się tym wspaniałym dysonansom przyrody, patrzyłem na ten ognisty, piekielny koloryt nieba i ziemi.



Zdawało mi się, że pan Krzysztof przy tych słowach trochę się zamyslił, a nawet jakieś smętniejsze uczucie wybiło się gdzieś z głębi duszy na jego twarz zimno uśmiechniętą. Ale wnet podjął znów wątek opowiadania:

— Ojcowie nasi wierzyli w duchy pokutujące na ziemi. Godzina dwunasta o północy była zwykłą godziną, w której z wiecznego odpoczynku budziły się duchy i szły do swojej pokuty. Modlitwa żyjących o wieczny dla nich pokój skracala im czas pokuty. Otóż, aby o tej godzinie jakiś głos wzniósł się do nieba i o pokój duchów prosił, poradzili sobie zamożni nasi przodkowie tem, że nad kominkiem stawiali zegar grający, który w dzień wycinał kuranty, a o północy dla duchów pokutujących żałośnym dźwiękiem nucił *requiem aeternam*.

Szyderczy uśmiech przebiegł po twarzy opowiadającego. Zdawało mi się, że dusza tego człowieka przesunęła się jak gąsienica przez dawny piękny obyczaj przodków naszych i ośliniła go brzydkim, cuchnącym jadem.

— Nie wiem, jakim sposobem to się stało—mówił dalej pan Krzysztof, stary zegar nad kominkiem począł przy odgłosie piorunu swoje ulubione *requiem aeternam* wygrywać, chociaż wskazywał dopiero godzinę dziesiątą. Małgorzata przeżegnała się głośno i krzyknęła: „wszelki duch chwali Pana Boga“, i mnie zrobiło się także markotno, bo tej smutnej, grobowej melodyi wcale nie lubiłem. W połowie melodyi, śród

największej burzy, zaturkotał wózek przed gankiem, a do izby wszedł mój ojciec.

— Spodziewałem się, że przyjedzie! — krzyknął pan Kajetan i klasnął w dłoń.

— Wszedł mój ojciec — ciągnął dalej pan Krzysztof—zmoczony do nitki i cały trzęsący się z zimna. Twarz miał czerwoną, jakby w wielkiej był emocyi. Uradowałem się jego przybyciem i czempredzej poskoczyłem do kominka, aby krzesło mu przystawić, gdy nagle i krótko do mnie się ozwał: „Pojedziesz ze mną, Krzysiu!“ A do Małgorzaty rzekł: „Daj mu moją delię, bo tam straszna burza“. Małgorzata na to nic nie odpowiedziała. Była kontenta, że na tem tylko się skończyło. Zanim z zadziwienia do siebie przyjść mogłem, siedziałem już w skarbniczku u nóg ojca, po sam nos owinięty w delię. Pamiętam tylko, że nim konie ruszyły, zaleciała mi jeszcze do uszu ostatnia nuta nieznośnej melodyi: *requiem aeternam*, i tak długo brzmiała mi po głowie, póki skarbniczek nasz nie zatrzymał się przed lichym gankiem górskiego dworku. Byliśmy w „Złotej Górze“.

Syłwan przyłożył rękę ozdobioną błyskotkami pierścieniami do ust i mam słuszne podejrzenie, że ziewnął. Makary patrzył przed siebie i uśmiechał się, jak autor przyszłych trzech tomów, tylko pocciwy Kajetan wytrzeszczył wypukłe oczy swoje w nadzwyczajnej ciekawości.

— Było to już nad ranem — mówił po chwili pan Krzysztof—ale chmury okrywały zewsząd niebo



i sprawiała ciemność. Mój ojciec wydobył mnie z delii, wziął za rękę i otworzył drzwi do pierwszej izby. W tej izbie widziałem mnóstwo starego rupiecia. Przez drugą izbę przeprowadził mnie ojciec szybko, nie dając mi czasu rozglądać się. Mimo to nie zapomnę nigdy tego widoku. W kącie obszernej, a prawie pustej komnaty leżał na łóżku jakiś staruszek o żółtej, wyschłej twarzy, a strasznie iskrzących oczach. Przy nim świeciła się lampa, a nad nim wisiało kilka szabli i duża flinta. Wyglądał jak człowiek konający, a jednak nikogo nie było przy łóżku. Czarny, kudłaty pies leżał pod oknem i warczał na nas. Mój ojciec odwrócił mnie szybko od tego widoku i pchnął do alkierza, zamknawszy drzwi za mną. Przyzwyczajony do samotności od dziecka, nie przestraszyłem się bynajmniej, widząc się w małym na pół ciemnym pokojku. Na dworze zaledwie robiło się szaro. Chciałem się właśnie po izdebce rozglądać, gdy przez drzwi usłyszałem głos chorego szlachcica:

— Sprawa! — zawołał.

— W ziemi — odpowiedział mój ojciec.

— A srebrniki?

— W ziemi.

— A powróż?

— W ziemi — odpowiedział znów mój ojciec.

Chory zapłakał rzewnym płaczem, a gdy się po chwili uspokoił, zaczął mój ojciec do niego cichym głosem mówić, czego już zrozumieć nie mogłem. Natrafiwszy na łóżko, usiadłem na niem, bo byłem nocną

podróżą mocno zmęczony. Wkrótce sen skleił młode powieki moje, a we śnie widziałem konającego szlachcica i słyszałem melodyę: *requiem aeternam*.

Pan Kajetan potarł się po czuprynie na znak, że opowiadanie pana Krzysztofa mocno go bawi, a zerknawszy z ukosa na pannę Klarę, wlepił znów w twarz opowiadającego siwe wypukłe oczy swoje. Po krótkiej przerwie mówił znów pan Krzysztof:

— Mimo tak strasznych snów, musiałem jednak spać długo i smacznie, bo już było sporo po południu, kiedy mnie ojciec obudził. Przyniósł mi kawał mięsa i mleka ciepłego garnuszek i nakazał mi, abym się cicho sprawował. Podjadłszy sobie, zasnąłem znów i byłbym może spał do rana, gdyby mnie nie był zbudził jakiś stuk w izbie chorego. Porwałem się na nogi i zacząłem pod drzwiami podsłuchiwać. Słyszałem znów głos chorego: „Sprawa?“ — „W ziemi“, odpowiedział mój ojciec. Dalej już dobrze dosłyszeć nie mogłem, co mówili, ale z trzeszczenia łóżka wnośiłem, że chory wstać usiłował, do czego mój ojciec zdawał się mu pomagać. Wreszcie słyszałem stękania i westchnienia, jak kiedy ktoś jaki ciężar bierze na plecy — słyszałem, jak otworzono drzwi izdebki na oścież... a za niejaki czas widziałem mego ojca, niosącego pod moje okno na plecach swoich chorego.

Pan Krzysztof odpoczął i spojrzął po nad głowę na konterfekt w czarnych ramach.

— To było okropne! — zawołały kobiety i wzdrygnęły się.



— Może być, że to był widok okropny — mówił dalej pan Krzysztof—mnie jednak nie wydawał on się takim. Księżyc świecił jasno i widziałem wyraźnie, jak głowa chorego zwiesiła się bezwładnie na ramieniu ojca, który w jednej ręce niósł jakieś narzędzie do kopania. Zebrała mnie ciekawość, co to z tego będzie, i milczkiem wymknąłem się przez otwarte drzwi do ogrodu.

— Ah, ah! — zawołały kobiety i przysunęły się bliżej do kominka.

Pan Jędrzej milczał przez cały czas. Zdawało się, że z niewielką ciekawością słuchał tej historii.

— Księżyc świecił jasno — opowiadał dalej pan Krzysztof—ale w ogrodzie było wiele cienia. Przy płocie z trzech stron stały gęstym rzędem topole, a w samym środku był mały pagórek, otoczony dokoła starymi lipami. Podanie niesie, że na tym pagórku, widocznie ręką ludzką usypanym, miały się niegdyś odbywać ceremonie pogańskie. I w samej rzeczy, dziwna symetryczność tych starych drzew i różnych wklęsłości w ziemi wskazują na jakieś dawne obrzędy, które się na tem miejscu odbywały. Otóż ku temu wzgórkowi udał się mój ojciec z chorym szlachcicem. Szedłem za nim w oddaleniu, trzymając się cienia topoli. Pod pierwszą lipą, która stała tuż pod wzgórkim, zatrzymał się mój ojciec. Chory jęknął, jakby uczył ból jakiś, i zawołał:

— Sprawa?

— W ziemi — odpowiedział mój ojciec.

— Srebrniki?

— W ziemi.

— Powróż?

— W ziemi — była znów odpowiedź mego ojca.

Tu zsunął się chory z ramion ojca i powalił na ziemię. Wił się jakby w kurczach i jęczał. Ojciec mój coś mówił do niego, ale już dosłyszeć nie mogłem, bo wiatr szeleścił w topolach. Po jakimś czasie przykląkł ojciec, wziął znów chorego na plecy i poniosł pod drugą lipę. Znów te same dziwaczne zapytania i te same odpowiedzi mego ojca. I tak trwało to, póki kur po raz pierwszy nie zapał. Wtedy uchłyły te zapytania, słyhać tylko było, że ktoś ziemię kopie. Za kilka chwil zaczęła się między nimi jakaś żywsza, urywana rozmowa, która szybko przechodziła w kłótnię. Nikogo się na świecie tak nie lękałem, jak ojca, gdy był rozgniewany. Czempredziej więc wróciłem do izdebki i położyłem się do łóżka. W nocy miałem sny okropne, a gdym oczy otworzył, stał mój ojciec nademną z lampą w ręku, wpatrywał się w twarz moją, mówiąc jakby do własnych myśli swoich: niezgoda pozbawiła nas wszelkiej nadziei, on już nie żyje!... Ale wnet niby oprzytomniał i rzekł do mnie: Wstań, pojedziemy. Zerwałem się z łóżka, a nim jeszcze oczy przetrzeć zdołałem, zarzucił mi ojciec delię na głowę i szybko wyprowadził mnie z izdebki. Idąc przez dużą komnatę, ujrzałem człowieka leżącego na długim stole. Był wyprężony jak struna, a twarz miał siną.



W nogach stała lampa, pod stołem leżał czarny kudłaty pies, a koło drzwi siedział dziadek kościelny i szeptał pacierz. Za chwilę siedziałem znów w skarbniczku u nóg ojca, zawinięty po sam nos w delię, ale tym razem już usnąć nie mogłem. Przez kilka tygodni już mnie nic nie bawiło. Ów człowiek leżący na długim stole, lampa, pies i dziad kościelny, stały mi ciągle przed oczyma. Mój ojciec od tego czasu bardzo rzadko w domu przesiadywał. Po całych nocach chodził to po ogrodzie, to po lesie i często sam coś mawiał do siebie. Co trzeci dzień wyjeżdżał nocą, a za kilka dni wracał znów nocą do domu w jakimś dziwnym rozdrażnieniu. Gospodarstwa już nie doglądał, wyżyła kazał zastrzelić, bo wszędzie za nim się czołgał i wtedy to sprzedał Boleszczyce.

Niejaki czas milczał pan Krzysztof. Przewyciężywszy jakieś odzywające się w nim uczucie, zaczął znów:

— Mnie wywiózł do miasta i oddał w opiekę dawnemu swemu znajomemu, zapłaciwszy mu z góry za lat dziesięć. Potem gdzieś wyjechał, mówiono, że dostał pomieszania zmysłów, i wkrótce doszła mnie wiadomość, że nagle umarł. Różnie mówili ludzie o jego śmierci. Wiecie o tych wszystkich niedorzecznych baśniach, które dotąd krążą po świecie. Nie będę ich powtarzał.

Milczenie powszechne było oznaką, że opowiadacz potrafił o przedmiot nader drażliwy. Po chwili mówił dalej:

— Powiedziano mi, że ojciec umarł bez testamentu. Zostały jednak znaczne kapitały, ulokowane u ludzi poczciwych, które sąd wziął w opiekę. Wiadome wam dalsze życie moje. Żyłem, ot jak można było żyć z ludźmi. Dopóki życie miało dla mnie nowość i powab, póty nie myślałem wcale o przeszłości. Ale najadłszy się do syta wszystkiego tego, co nam życie dać może, wróciłem do wspomnień mojej młodości — do owej nocy w „Złotej Górze,” i dziwnym trafem dowiedziałem się, że właśnie jest do nabycia ten majątek, bo liczni spadkobiercy, procesując się o niego lat trzydzieści, zgodzili się wreszcie na sprzedaż z ręki sądu. Odświeżyły się w mojej pamięci wszelkie wypadki owej nocy pamiętnej, a za kilka tygodni byłem już panem i dziedzicem „Złotej Góry” i posiadaczem owego tajemniczego wzgórza, otoczonego starami lipami.

Pan Krzysztof odetchnął i dalej rzecz prowadził:

— Przyszło mi na myśl, że tam musi być jakiś skarb zakopany. Myśląc o tem dniem i nocą, uczułem w sobie żądzę skarbów, a żądza ta rosla w mojem sercu z każdym jego tętnem i wkrótce wszystko inne zagłuszyła. Odtąd nie było dla mnie nic drogiego, nic świętego — wszystko stopiło się w złotego cielca, który był moim bogiem! Z rozrzuconego stałem się skąpym, łaknącym cudzego, szukałem procesów *per fas i nefas*.

— W kilku słowach waszych, panie Krzysztofie, mieści się wielka prawda — poderwał ksiądz Igna-



cy — każda zła myśl jest jak olów, która, gdy w serce padnie, już jej nie wyrzucić!

— Poszukiwania moje w pocie czoła z rydlem w rękę były daremne — mówił dalej pan Krzysztof. — Zacząłem owych skarbów szukać inną drogą. Zbieżałem baśnie ludu w nadziei, że one ukążą mi drogę do bogactw ukrytych. I dziwnych dowiedziałem się rzeczy o moim antecesorze.

Po niejakej pauzie mówił pan Krzysztof dalej:

— Naprzód powiedziano mi, że nieboszczyk nie umarł śmiercią naturalną, ale pewnej nocy obwiesił się w ogrodzie na lipie. Miał to być dziwak, jakich mało. Do późnej starości żył sam jeden, nikomu się nie zwierzał, ludzi unikał, tylko jakiś przyjaciel przyjeżdżał do niego co kilka tygodni i z nim sam na sam po długich nocach siedział. Nie był to nikt inny, tylko mój ojciec. Opowiadano mi dalej, że ów pan Szymon (tak nazywano mego antecesora) wyprawiał nieraz rzeczy, jakby nie był przy zmysłach. Najmilszą jego zabawką była przechadzka po lesie. Wtedy to komponował różne wiersze i na korze buków je wyrzynał. Były one nieraz dziwacznej natury. Kilka takich wierszy, rozrosłych teraz w ogromne litery, można jeszcze odczytać. I tak zaraz na wstępie do lasu stoi:

Człowiek łap,  
Dyabeł cap —  
Grzeszna dusza  
Bez kontusza. —

Dalej znów napisał:

Bez absurda.  
Śmierć to furda. —  
Złota daj,  
Będzie raj! —

Kilka kroków za tym napisem czytasz znów:

Miałem chrap,  
Dyabeł chap —  
By mnie chłostał,  
Powróż został. —

I tak kilka morgów lasu napelniał pan Szymon muzą swoją, a lud okoliczny unikał tej literatury leśnej, posadzając autora o związki z dyablem. Od starego pasiecznika, który liczył sto lat z okładem, dowiedziałem się bliższych szczegółów z życia pana Szymona. Wąłęsał on się wiele po świecie, a że to był czas, gdzie szlachcic nie mógł spokojnie w domu siedzieć, toż i pan Szymon wziął kilku pachołków i razem z konfederatami gdzieś za Wisłę pojechał. Po wielu latach wrócił do domu. Razem z nim przyjechał jakiś pan w dużej peruce i niejaki czas w „Złotej Górze“ przesiadywał. Z nim wyjeżdżał często pan Szymon do Węgier na Spiż. Razu jednego wrócił sam pan Szymon bez towarzysza. Długo rozczytywał się w pozostałych po nim papierach, a na trzeci dzień w nocy wyszedł z rydlem na wzgórek do ogrodu, kopał do białego dnia i od tego czasu począł cierpieć pomieszanie rozumu, w którym to szaleństwie owe wiersze komponował.

— I czegoż on tam szukał?—zawołały kobiety.



Pan Krzysztof odpoczął sobie chwilkę i dalej tak mówił:

— Zestawiwszy to wszystko razem, com teraz słyszał, a com dawniej na własne oczy widział, byłem pewny, że pod lipami zakopane są jakieś skarby. Przyszedłem także na ślad tradycji, że przed kilkudziesięciu laty przebywał u pana Szymona jeden z owych lekkomyślnych ludzi, którzy dla igraszki lub z prywaty rozpędzali sejmy nasze, obradujące nad sprawami publicznymi. Gość pana Szymona miał to samo uczynić i za niezgodę, którą między swymi wznicił, wziął od jakiegoś stronnictwa wielkie pieniądze. Miał jednak wstręt do tych pieniędzy i chcąc się ich pozbyć, zakopał w ogrodzie, a sam zniknął bez wieści. Panu Szymonowi wlaź ten skarb tak do głowy, że porył pługiem i motyką całe owo wzgórze, a gdy go kto o przyczynę pytał, to mówił, że ziemię nieurodzajną sprawia. Ztąd też sąsiedzi, którzy wiedzieli, o co właściwie chodzi panu Szymonowi, pytali go: „A jak tam sprawa?” co w późniejszym wieku, gdy już cierpiał pomieszenie rozumu, sam często powtarzał.

Myśleliśmy, że tu kończy się ciekawe opowiadanie pana Krzysztofa i markotno nam było, że ta dziwna tajemnica pana Szymona rozwiązała się w sposób tak pospolicie. Pan Krzysztof widział to po twarzach naszych, a chcąc nam chwilowe nieukontentowanie wynagrodzić, wydobył z zanadru zwitek papieru i rozłożywszy go, rzekł:

— Po długich a daremnych poszukiwaniach przyszedłem wreszcie na ślad ukrytego skarbu. Przy restauracyi kominka znalazł się dokument, który mam tu w odpisie:

„W Imię Boga Ojca, w Trójcy jedynego... Moim sukcesorom wiadomo czynię, że w ogrodzie na wzgórzu zakopany jest skarb wielki. Całe życie pragnąłem tego skarbu i strawiłem się w tem pragnieniu, nie osiągnąwszy go. Właściciel bowiem tego skarbu, schodząc z tego świata, rzekł mi: „W ziemi twojej zakopałem skarby, nabyte przez niezgodę. Zgodą tylko możesz je wydobyć. A kto z niezgodą w sercu do dzieła przystąpi, ten zamiast skarbów, wykopie powróż, t. j. rozpacz żądry zawiedzionej. Jeśli na to wzgórze przyjdzie rodzina jaka w zgodzie i jedności, to Bóg zdejmie klątwę z ukrytego skarbu i natchnie szukających wspólnie, że odrazu trafiają na niego. Ja nie miałem rodziny, mówi dalej dokument, i próbowałem w zgodzie z jedynym przyjacielem moim, panem Floryanem, te skarby odgrzebać. Ale za pierwszym uderzeniem rydla o jakiś kamień podziemny powadziliśmy się, sądząc, że to już skarb. Ktokolwiekbądź tę kartę do rąk dostanie, niech w zgodzie i jedności szuka tego skarbu, któregośmy przez niezgodę znaleźć nie mogli.“

Szymon R\*\*\* mp.

Tu następuje przypisek mego ojca:

„Jako świadek podpisuję się i w razie nagłego zejścia z tego świata, wkładam obowiązek na mego



syna Krzysztofa, aby razem z rodziną swoją w zgodzie i miłości tego skarbu szukał. A gdyby takowej nie miał, niech to uczyni pan Jędrzej, aby skarb ten w mojem rodzeństwie pozostał. Wiadomość o tem da mu Krzysztof w dzień świętego Floryana, w szarej komnacie przy kominku, bo wtedy będę tam duchem obecny, aby się pokrzepić najlepszemi memi wspomnieniami. W tym dniu bowiem kochałem mego syna, w innych tylko samego siebie”

Floryan B\*\*\* mp.

Jeszcze nie byliśmy wyszli z osłupienia, w jakie wprowadziło nas to dziwne zakończenie historii o skarbie zakopanym, gdy pan Krzysztof wstał z krzesła, a chodząc po komnacie, mówił dalej:

— Myślałem, że przemożę wyższe wyroki i sam skarb wykopię. Jestem na brzegu życia, a skarb dotąd nietknięty. Otóż dzisiaj zapiszę wam to wszystko, co oczy widzą, całą „Złotą Górę,“ a jutro pojedziemy, aby zgodnem sercem i zgodną myślą, szukaś tego, co dla niezgodnych ma być na zawsze ukrytem!

Rzekłszy to, odwrócił się twarzą od nas, abyśmy na niej nie ujrzeli tego uśmiechu złośliwego, który czynił go podobnym do konterfektu w czarnych ramach.

## VII.

### S k a r b.

Zrazu jakieś radosne uczucie opanowało wszystkich. Wstali i zaczęli ścisnąć pana Krzysztofa. Tylko pan Jędrzej zimniej, niżby się należało, uściśnął go, a nawet kilka słów, uśmierzających radość powszechną, powiedział. Zwróciłem się do księdza Ignacego i rzekłem:

— Cóż wasze na to, księżę Ignacy?

Ksiądz Ignacy zamyślił się, a po niejakiem czasie w te ozwał się słowa:

— Zdaje mi się, że ten nieznajomy towarzysz ś. p. Szymona był człowiekiem niepospolitym. Wiedział, czego ludziom, a mianowicie nam, do każdego dzieła potrzeba. Oto zgody i jedności. Zgodą i zespoleniem sił dokazują ludzie cudów. Wszystkie owe dzieła, które świat podziwiał, powstały tym sposobem. Kto się zasklepia w kłębku egoizmu lub z sąsiadem kłóci, ten niczego nie dokaże. Tak sobie tłumaczę myśl tego testamentu. Nie chodzi tu o samą mamonę.

Chciałem jeszcze to i owo proboszczowi powiedzieć, ale wśród wrzawy powszechnej nie mogłem



przyjść do słowa. I ksiądz Ignacy jakoś nierad był dysputować, bo wzięwszy za czapkę, już chciał się cichaczem wynieść, kiedy pan Krzysztof zawołał:

— Hej, a gdzież to wasze uciekasz, księżu Ignacy, wszak żniwo dobrze wypadło — anieli w niebie radować się będą z dnia dzisiejszego!

A gdy wszyscy pocziwego proboszcza opadli, aby w tak radosnej chwili nie odchodził, położył ksiądz Ignacy napowrót czapkę na kominku i usiadł w krześle. Był jednak cały czas zamyślony i milczący. Aż do wieczora do nikogo słowa nie przemówił.

Panu Krzysztofowi coś pilno było z zapisem. Zaraz w kilka godzin potem sporządzono formalny dokument, mocą którego w swoim i w swoich sukcesorów imieniu darował pan Krzysztof rodzinie pana Jędrzeja „Złotą Górę,” pod tym jednak warunkiem, jeżeli wszyscy zgodnie przystąpią do wydobywania skarbu.

Tak radosne zdarzenie obchodzono do późnej nocy z dobrą fantazją. O skarbie zakopanym nie wiele mówiono, bo sama „Złota Góra” była skarbem nieocenionym. A jeśli ludziom jaką taką słusność przyznamy i niekoniecznie wszystko czarno widzieć chcemy, toż samo nawrócenie się pana Krzysztofa i sojusz jego z całą paną Jędrzeja rodziną, musiały w sercach wszystkich nader przyjemne sprawić uczucia.

Gdyśmy o północy z Boleszczyca do domu odjeżdżali, widzieliśmy taką radość i pogodę na twa-

rzach wszystkich, jakby im do szczęścia już nic nie brakowało. Na odjeździe musieliśmy nawet dać słowo, że w jutrzejszej podróży do „Złotej Góry” towarzyszyć im będziemy, na co bardzo chętnie przystałem, dowiedziawszy się od mojej Basi, że gdzieś tam niedaleko „Złotej Góry” mieszka jakaś jej krewna i że górskie powietrze działa dobrze na jej rozdrażnione nerwy.

Długo jeszcze w noc rozmawiałem z żoną moją o panu Krzysztofie i o „Złotej Górze” i skarbie tamże ukrytym, a gdy nazajutrz przyszedłem jej rękę na dzieńdobry ucałować, była już od stóp do głowy ubrana i tak mnie mile przywitała, że podziękowałem w duchu panu Krzysztofowi za tak szczęśliwy koncept jego.

Jakoż zaraz około dziesiątej godziny wybraliśmy się do Boleszczyca, zkąd mieliśmy wspólnie do „Złotej Góry” odjechać.

Gdym wszedł do sali makatowej, zastałem tam już całą rodzinę zgromadzoną. Uderzyło mnie, że na tych twarzach, wczoraj tak wesołych i szczęśliwych, małowaly się dzisiaj bezsensowność i zamyślenie, każdy stał opodal drugiego, wspólnej rozmowy nie było między nimi. Pan Kajetan stał przy oknie, a muskając ręką po brodzie, patrzył w dziedziniec, jakby koniecznie kogoś oczekiwał. A przecież panna Klara wyglądała dzisiaj prześlicznie. Miała na sobie szary szlafroczek do podróży, włosy splecione w dwa grube warkoczki, aby tem wygodniej wziąć kapelusik



podróżny i miała ten sam ładny, do góry ciekawie zadarty nos, który niegdyś panu Kajetanowi tyle sprawiał marzeń i snów przyjemnych! Dzisiaj jako nieczułym był pan Kajetan na te wdzięki biednej sieroty. Nawet jej lekliwe spojrzenia i jakiś dziwny niepokój, który jaknajwyraźniej malował się na jej bladej twarzyczce, nie mogły pana Kajetana wyrwać z tego szczególnego zamyślenia, na które przecież tak rzadko w życiu zapadał.

Pan Sylwan zrazu przysiadł się do mojej żony i jako grzeczny kawaler, zaczął ją bawić zwykłemi swemi conceptami. Ale wnet wyczerpały mu się concepta, zaczął bębnić palcami po stoliku, a korzystając z pierwszej lepszej sposobności, czmychnął do przyległego gabineczku i tam usiadł z tem chwalebny przedsięwzięciem, aby choć raz w życiu nad czemś dobrze się zastanowić.

Że pan Makary nic do nikogo nie mówił i tylko z kąta w kąt ukośną przechadzał się linia, temu się wcale nie dziwiłem. Ludzie wielkiej nauki, którzy książki koncypują, zazwyczaj są małomówni i rzadzi oddalają się od towarzystwa. Mój sąsiad dzisiaj, pan Euzebiusz Politnicki, pisząc o rodowodzie swojej stadniny, przez trzy lata w stajni z bydłem siedział, a z ludźmi i mówić nie chciał. A chociaż stryjeczny mój brat, pan Atanazy, człowiek złośliwego dowcipu, mówiąc o nim, dorzucał zawsze po łacinie: *similis simili gaudet*, co znaczy po naszymu: z jakim się kto wdaje, takim się sam staje, przecież

dla pana Euzebiusza mam dotąd wielką estymę, choćby już z tego powodu, że mu się chciało książkę napisać. Otóż na pana Makarego spojrzalem z uszanowaniem i radbym był wszystkim gęby pozatykać, aby myślom jego nie przeszkadzać, z których miały powstać tak piękne książki, jak to mi wczoraj był opowiedział.

Panna Anastazyja miała twarz nadzwyczaj ożywioną. Była ze wszystkich najweselszą. Ubranie miała wykwintniejsze niż zwykle, a trzymając w ręku jakąś siatkę z jedwabiu, zbyt często posyłała wzrok w dziedziniec, aż do bramki czerwonej, jakby ktoś miał tamtędy nadjechać. Pan Marcin siedział przy niej i bawił się misternym koszykiem, w którym był jedwab panny Anastazyi. Z jakąś fatalną miną wpatrywał się pan Marcin w ten koszyk misterny, który przedstawiał wieniec z cierni uwity. Oboje byli w dziwnym roztargnieniu. Nie dziw; narzeczony przy narzeczonej zawsze języka w gębie zapomina.

Ciocia nie miała dzisiaj fluksyi. Twarz jej była tak seryo nastrojona, jakby w jej myślach ważyły się losy świata.

Pan Jędrzej i pani Jędrzejowa mieli twarze szczerze uśmiechnięte. Chcieli różnemi conceptami powszechną wywołać wesołość, ale to im się nie udało. Potrzeba było wiele rzeczy do podróży przygotować i często od towarzystwa się oddalić, które zostawione sobie, w coraz większe wpadało zamyślenie.



Pan Krzysztof także mocno się niecierpliwił. Co chwila spoglądał na zegarek i na niebo, czy jaka niepogoda podróży nie zagrozi. A przecież o niepogodzie ani myśleć. Niebo było czyste i jasne, żadna nie plamiła go chmurka. Powietrze, nieco chłodne, lecz orzeźwiający, zapowiadało długą i trwałą pogodę. Mimo to pan Krzysztof niepokoił się i do rychłego wyjazdu napominał.

Księdza Ignacego nie było dzisiaj. Dwa razy posyłano po staruszkę, ale wymówił się, że ma reumatyzm w uszach.

Podjadłszy wreszcie na drogę bigosu i szynki i wzięwszy z sobą zapas różnych przekąsek, wyjechaliśmy z Boleszczyca około godziny jedenastej przed południem, aby na wieczór stanąć w „Złotej Górze”, gdzie nas pan Krzysztof hojnie uraczyć przyobiegał. Więc w nadziei tej znosiliśmy cierpliwie wszelkie niewygody i cieszyliśmy się oczekiwaniem tego, co nastąpi.

Jechałem z panem Jędrzejem w starej kałama-szce, jakby naumyślnie do górskich dróg sporządzonej. Cięższe bowiem karety zostawiliśmy w domu, prócz jednej, w której jechały kobiety. Pan Krzysztof nie dał się rozłączyć ze swoim błękitnym, dosyć prostym wózkiem i jechał tylko sam jeden.

Przewracając w głowie to i owo, rzekłem do pana Jędrzeja:

— Niech mi wasze daruje, ale dziwna myśl przysła mi do głowy. Dlaczego ta darowizna pana

Krzysztofa nazywa się „Złota Góra?” To coś niedobrego wróży.

— Jakto? — zapytał zdziwiony pan Jędrzej.

— Miałem pacholka — odpowiedziałem — który zwał się Piorunowicz. Był ze mną w kilku potyczkach, kule i bagnety nic mu nie zrobiły — a zginął od piorunu. Także był poddany w moim majątku, co się zwał Stryczak. Jakoż na szubienicy zakończył swój żywot, poderżnąwszy wprzód chartankę Ickowi, znanemu zkądną szachrajowi.

— Cóż to ma do „Złotej Góry?” — zawołał mój towarzysz.

— Te słowa — odpowiedziałem — nie najlepsze mają u nas znaczenie. Jeśli kto więcej obiecuje, niż dać może, lub nie szczerze to czyni, mówimy wtedy: *obiecował mu złote góry*.

Na to uśmiechnął się pan Jędrzej i rzekł:

— Choć waszmość wiele zdeptałeś obcej ziemi, jednak nie znasz swojej własnej. To wyrażenie „Złota góra” jest u nas, mianowicie na Rusi, bardzo polspolite. Każda wieś, każda gromada i każdy dwór mają swoje „Złote góry.” Tak bowiem nazywają każdy lepszy łąn, położony na południowym stoku pagórka, gdzie słońce dobrze operuje, a deszcze nie tak bardzo mu szkodzą. Są to zazwyczaj pola bardzo urodzajne, najczęściej pszeniczne, a że dojrzała pszenica ma kolor złota, to i pole takie nazywają „Złotą górą.”

Zawstydziłem się, że kraju ojczystego nie znam,



bo o wyrażeniu „Złota góra” wcale inne miałem pojęcie. Musiał to spostrzedz pan Jędrzej; uśmiechnąwszy się, mówił dalej:

— Czytałem nawet ciekawą opowieść o naszych „złotych górach”. Jakiś książkowy mędrzec dowodził, że u nas musiały być niegdyś kopalnie złota, albo że przynajmniej w naszych górach złoto leży, jeżeli tyle „złotych gór” w kraju mamy. Lud nasz, dzięki Bogu, szlachetniejsze ma od nich wyobrażenia. On nie szuka złota tanim kosztem, zapuszczając się w głąb ziemi; u niego złoto to praca, jak u Anglika złotem jest czas. U ludu ta ziemia jest „złotą”, która wraca mu jego trud i pracę. Jest to bardzo piękny rys naszego charakteru, szkoda że na to tak mało zwracamy uwagi.

Wziąłem to za przyczynę do mojej niewiadomości, ale nic na to nie odpowiedziałem, bo to była zasłużona dla mnie kara. Wiele rzeczy jest blisko nas, któremi szczyłyby się obce narody, a my ich nie widzimy. Już dlatego, że nasze, zdaje się nam wszystko powszedniem. Gonimy za obczyzną, zaczawszy od podczesywania czupryny, aż do wyrażania swych myśli i uczuć. Jak gdyby mowa nasza pośledniejsza była od innych, jakimi Bóg obdarzył obce narody.

Tak i podobnie rozmyślając sobie, patrzyłem przed siebie z wielką niecierpliwością; kiedy ukaże się ta upragniona: „Złota Góra”, o której tyle nasłuchiwałem się rzeczy.

Dzień był przecudny. Jasne majowe słońce

ogrzewało nas łagodnie. Świeży zielony kolor traw i drzew orzeźwiał wzrok nasz, a woń kwiatów z przyległych sadów napępiała powietrze jakimś cudnym zapachem, jakiego w żadnych wódkach nie ma, chociaż to żona moja wielką jest amatorką takich sztucznych pachnideł. A co za śliczne widoki rozciągały się przed nami!

Zaiste, nie trzeba koniecznie tak kochać tej ziemi, jak matka dziecię swe kocha i jak każdy z nas kochać ją powinien, a przecież trzeba przyznać, że niełatwo o cudniejsze widoki w samej nawet Szwajcaryi nad te, jakie się znajdują często w naszej podkarpackiej krainie.

Już przy samym zachodzie słońca, spuszczać się z wysokiej góry, ujrzelśmy w dali grupę drzew i kilka białych kominów.

— To „Złota Góra” — zawołał pan Jędrzej i zamilkł.

Widok tego miejsca, na którym miał się odbyć jakiś dziwny, nieodgadniony dramat, nasuwał nam różne myśli. W milczeniu patrzyliśmy na rozsuwający się przed nami obraz.

W samej rzeczy, „Złota Góra” była trafnie nazwana według pojęcia ludu, jak mi to pan Jędrzej przed chwilą był wyświecił. Z trzech stron wznosiły się wysokie, czarnym lasem okryte góry. Ku zachodowi otwierała się kotlina, a na lekkiej pochyłości, wystawionej na operację słońca, usadowił się dwór, a do niego przytuliła się pracująca czeladka. Prawie wszy-



stkie pola osady były położone do słońca, a z trzech stron zasłaniały je od wiatrów mroźnych niebotyczne góry. To też praca osiadłej tu czeladzi przynosiła plon dostatni, a wdzięczni robotnicy nazwali tę ziemię „złotą“, chociaż ona nie dawała im wprost tego błyszczącego kruszcu, tylko wynagradzała ich trud i pracę.

Mały, drobny na pozór obrazek rósł za zbliżeniem się do niego w coraz ogromniejsze rozmiary. Wkrótce z pomiędzy drzew wychylił się dworek, potem inne zabudowania gospodarskie, a na skrajnie około małego stawku obaczyliśmy i furtkę do ogrodu, w którym wznosił się ów tajemniczy wzgórek, opasany starymi rosochatami lipami.

Jakieś dziwne uczucie przeniknęło mnie na widok tego wzgórką. Zdawało mi się, że się zbliżamy do jakiejś świątyni starożytnej, w której lochach uwięziona jest owa przeszłość zamierzchnia. Dla dzisiejszych ludzi kryje ona skarb, którego łakną, a który ma się tylko wtedy stać dla nich widomym, jeśli się choć raz w życiu wyrzekną słabości swoich i ze zgodnym sercem przystąpią do odszukania go.

Wreszcie stanęliśmy przed dworkiem. Stary służa i dwa psy wyszły na nasze przywitanie. Ani uprzejmość gospodarza, który sadił się na różne komplementa, ani koncepta Sylwana, niecnoty, który moją żonę Dyana tej leśnej krainy nazywał, nie mogły serca mego rozweselić. Ciągłe stał mi przed oczyma antecesor pana Krzysztofa, a wchodząc do

pierwszej izby, szukałem w kącie owego długiego stołu, na którym leżał nieboszczyk.

I zdawało mi się, że wchodząc w dom pana Krzysztofa, zastanę tam sprzęty proste, stół dębowy, tapczan i dzbanek wody. Nieprzyjaciel świata i ludzi przedstawiał mi się zawsze w postaci dawnych pu-stelników. Zdumiałem się więc niemało, gdy w niskich i ciasnych izdebkach znalazłem taki przepych wykwinny, jakiego tylko w pałacach szukać! I dziwna mi się tu myśl nasuwa. Dawni nieprzyjaciele świata uciekali w puszcze bezładne i żywotem pełnym prywatności okazywali temu światu pogardę dla jego znikomości. Było to poczucie się do wyższego żywota, chociaż o tej wyższości wcale inne miano wyobrażenia. Dzisiejsi pogardziciele świata biorą wszystko od niego, a niby go nienawidzą. Są to egoiści, nic więcej.

Tak też wydawał mi się dworek pana Krzysztofa. On, który zdawał się całym Bożym światem pogardzać, żył tu jak sabaryta. To też wkrótce nakryto stół i zastawiono go smaczniemi przekąskami. Tymczasem krzątano się w kuchni koło wystawnej wieczerzy, która miała nam wynagrodzić prywatny dzień dzisiejszego.

Z ciepłą strawą i kieliszkiem starego winka lepszy duch wstąpił w nas wszystkich. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, ale dziwnie się jakoś składało, że o zakopanym skarbie nikt ani słowa nie wyrzekł, chociaż wszyscy kolejną zerkaliśmy od czasu do czasu



przez okno na ów pagórek tajemniczy, który niedaleko nas czernił się w świetle księżyca; stare, rosochate lipy rzuciły daleko cień swój olbrzymi, a ich rozpostarte gałęzie wypisywały na ziemi jakieś dziwne hieroglify.

Pan Krzysztof był widocznie uradowany. Patrząc na zamyślane i posępne twarze gości swoich, uśmiechał się i zachęcał do kielicha, który krążył koleją. Wnosił także różne toasty dowcipne, ale o skarbie nic nie wyrzekł.

Wreszcie wstał i zawołał z powagą:

— Po pustej zabawie przystąpmy do rzeczy poważniejszych! Mówmy o skarbie zakopanym.

Wszyscy jakoś trwożliwie spojrzeli po sobie. Widać było, że nie radzi przystępowali do przedmiotu, który przecież godzien był całej ich uwagi. Mamy wrodzoną obawę przed każdym krokiem stanowczym. A do tego zdążyły słowa pana Krzysztofa.

— Najdroższym skarbem naszym jesteś ty sam, kochany Krzysztofie. Ja stary, spokojnie zamknę powieki, albowiem oczy moje oglądały ciebie w moim kole rodzinnem. Zgodą i miłością stoi rodzina; biada narodowi, jeśli niezgoda i zawiść porozrywa węzły rodziny! A więc wnoszę zdrowie: „niech żyje miłość braterska!“ — zawołał pan Jędrzej.

— Która zestrzelona w jedno ognisko, wolna od wszelkiej prywaty, może ziemię z odwiecznych ruszyć posad — dorzucił Makary.

Na to odpowiedział pan Krzysztof, biorąc kielich do ręki:

— A więc miłości braterskiej zdrowie, która poświęca się dla dobra wszystkich!

Wypito duszkiem. Nawet kobiety skosztowały węgryzna. Pan Krzysztof kazał nową nalać kolej i zawołał:

— Czytam w sercach obecnych i raduję się, że mieści się tam tyle szlachetnych uczuć!... Czyż może być szlachetniejsze uczucie nad miłość dziewicy, której serce przyłgnęło do męża tak zacnego, jakim jest pan Marcin? Cóż złączyło ich dusze, coż ma im ręce związać? Otóż jedno z najpiękniejszych uczuć, które mi na życie Bóg nas wyposaża, abyśmy w szczęściu szczęśliwsi, w nieszczęściu mniej nieszczęśliwi byli!... Zdrowie narzeczonych piję!

Powstaliśmy wszyscy i pannie Anastazyi razem z panem Marcinem okazaliśmy nasz afekt serdeczny. Podochocony już nieco, nalałem sobie, a spojrzawszy na pana Kajetana i pannę Klarę wzrokiem znaczącym, rzekłem:

— Ponieważ pan Marcin już się deklarował, a panna Anastazyja za przyzwoleniem rodziców tę deklarację przyjęła, więc można rzeczy nazwać po imieniu i o nich rozmawiać. Ale nie czynmy krzywdy tym, którzy afekt swój kryją jeszcze utajony, którym nie wolno mówić jeszcze do siebie: *maja, mój*. W nadziei jednak, że ten afekt jest szczery i zacny, że ci, którzy dzisiaj tylko ukradkiem na siebie zerkają, wkrótce



przyjaźń dozgonrą sobie zaprzysięgną, niech mi wolno będzie wznieść ich zdrowie.

Na to powstał pan Kajeran, chociaż bynajmniej imienia jego nie wymieniłem, co powszechną sprawiło radość. A gdy i panna Klara cała w płomieniach stanęła i oczy na talerz spuściła, podnieśli się rodzice pan Kajetana i wniesione zdrowie z uśmiechem zadowolonia wypili.

Pan Krzysztof na wszystko pilnie uważał i zdało mi się, że się złośliwie uśmiechał. W końcu, gdy już wszyscy mniej więcej ucichli, gdy moje i mojej żony, a nawet Sylwana i Amilkara zdrowie wypito, powstał pan Krzysztof i rzekł:

— Nie zapominajmy o głównym naszym celu, który tu nas razem sprowadził. Skarb przed nami i to skarb niemały!

— Bóg mi świadkiem — zawołał pan Jędrzej — że skarbu nie pragnę. Ale ma on w ziemi rdzewieć bezużytecznie, to lepiej go wykopać. W piśmie napisano, że źle jest talent w ziemię chować. Jeśli on lichwę przynieść może. Niech tą lichwą będzie jaki dobry uczynek.

— O dobrych uczynkach później będzie mowa — rzekł pan Krzysztof — najpierw trzeba mieć skarb. Pierwsze do tego warunki są: miłość i zgoda.

Pan Jędrzej spojrział tryumfującym okiem po swojej rodzinie. Zrozumiał go pan Krzysztof, uśmiechnął się i rzekł:

— Ponieważ wszyscy zgodni jesteśmy sercem i

myśla, to skarb już w tej chwili do nas należy. Dru gi dokument mego antecesorą, sporządzony na kilka dni przed śmiercią, oznacza miejsce, gdzie ten skarb ma być zakopany!

— Jakto? nawet miejsce! — zawołano chórem.

— Tak jest — odparł pan Krzysztof i powiódł okiem dokoła.

— Gdzież to miejsce? — zapytano.

— Pod trzecią lipą ze skraju — odpowiedział pan Krzysztof.

Niejaki czas trwało głuche milczenie. Mógłbyś słyszeć robaka wiercącego w ścianie, mógłbyś słyszeć dziesięć serc bijących w piersi. Cóż przyspieszyło ich bicie?

— A więc na dzisiaj, dobranoc — ozwał się pan Krzysztof. Jutro o dziesiątej pójdziemy do kościoła. Prosiłem księdza proboszcza o mszę świętą na naszą intencję. A po mszy udamy się wszyscy razem na wzgórze... pod trzecią lipę.

Pan Jędrzej przerwał milczenie. Ucałował pana Krzysztofa i kazał się odprowadzić do swojej izdebki. Koleją rozeszliśmy się wszyscy, unosząc z sobą najróżnorodniejsze myśli i uczucia.

Dzięki przezorności naszego gospodarza, tak byliśmy wszyscy ulokowani, że każdy mógł tę noc przepędzić jak mu się podobało, nie odbierając snu drugim.

Przeznaczono mi na nocleg małą izdebkę w oficynie, której okno wychodziło na ogród. Nim jeszcze



zdołałem po kątach się rozejrzeć, wszedł do mnie pan Krzysztof.

— I cóż myślisz waszeć o jutrzejszej naszej wyprawie? — zapytał mnie.

Ruszyłem ramionami, ale nic nie odpowiedziałem.

— Cóżbyś wasze na to powiedział — mówił dalej—gdybym zaproponował skarb ten cały dać biednej sierocie, pannie Klarze?

— To myśl piękna i szlachetna — odpowiedziałem.—Sierota nie znachodzi na ziemi ani miłości, ani przywiązania; niechże to jej będzie, co w ziemi leży.

— Tak trzeba zrobić — dorzucił pan Krzysztof, a uściskawszy mnie za tę radę na dobranoc, uśmiechnął się jak człowiek, który swego dopiął, i wyszedł odemnie.

Ledwo się drzwi za nim zamknęły, usłyszałem znów czyjeś kroki. Ostrożnie i zcicha wszedł pan Kajetan.

— Przepraszam waszmość—zaczął z góry—ale coś mi do głowy przyszło, w czem chciałem zasięgnąć rady waszmości.

— Proszę, proszę — rzekłem.

Pan Kajetan zamyślił się trochę, z czem mu wcale nie było do twarzy, a położywszy palec na czole, ozwał się cichym głosem:

— Pan Krzysztof mówi, że to ma być skarb bardzo wielki!

— A tak — odparłem.

— Ale że tylko wszyscy razem możemy go wykopać — dorzucił.

— Takie są warunki — rzekłem.

Pan Kajetan znów się zamyślił, posunął palcem po czole i jeszcze cichszym ozwał się głosem:

— A gdyby... naprzykład... jednego z nas nie było? Skrzywiłem się i rzekłem.

— To skarb nie może być wykopany.

Kajetan milczał czas niejaki. Widziałem, że coś w myśli waży. Wypogodziwszy czoło i uśmiechnawszy się jak człowiek, którego to, o czem przed chwilą mówił, nie wiele obchodzi, zaczął z innej beczki:

— Czy znasz wasze pannę Eulalię?

— Posażna i herbowna panna — odpowiedziałem.

— Ma to być dom bardzo dumny — dorzucił zamyślony.

— Dzisiejsza дума to rzecz krucha—rzekłem.—Pieniądze przemogą ją zawsze.

— Czy tak waść sądzisz?—poderwał skwapliwie.

— Nie inaczej — odparłem i uśmiechnąłem się, bo pocziwy Kajetan przy tych słowach strasznie głupio wyglądał.

Po niejakiem milczeniu ozwał się Kajetan:

— Dzisiaj już jest świat taki, że każdy musi myśleć o przyszłości. Od przybytku głowa nie boli. Panna Klara ma dobre złote serce, ale...

I zaczerwienił się po same uszy pocziwy Kajetan. Krew jego była lepszą od duszy.

— Mówią ludzie—mówił dalej—że afekt serdeczny trwa póty, póki bieda i niedostatek w oczy nie zajrzą.



Nic na to nie odpowiedziałem, widząc, do czego zdąża mowa Kajetana. Ośmielony tem, chwycił mnie ze pętlicę i z przyjacielską ozwał się poufałością.

— A przecież panna Eulalia ma i majątek i parentelę, mości dobrodzieju! he?... A jabym jej taką czwórkę sprzął do wiedeńskiej kolasy, jakiej w naszych górach jeszcze nie bywało. Bo co to waść myślisz, moja białonóżka z dereszem, a kasztanek z tak zwanym landsdragonem, he?... A mości dobrodzieju, Mykitę ubrałbym w złote galony i kamasze, he?... Widziałbyś waść, jakiby pan był ze mnie! he? A do tego wszystkiego nic mi więcej nie trzeba, jak pieniędzy! Czy tak, panie Michale?

I jeszcze więcej chciał prawić pocziwy Kajetan, ale powstrzymałem jego ferwor, mówiąc:

— Jutro, jutro pomówimy o tem, panie Kajetanie.

Powiedziawszy mi więc dobranoc, wyszedł do swojej izdebki. Jakie uczucia miała w tej chwili biedna sierota, Bogu tylko wiadomo. Może śniła o własnym domku, o małym ogródku... i o wysokich kołnierzach pana Kajetana. Zaiste, tyle naszego szczęścia, ile człek prześni!

Smutno mi jakoś było. Otworzyłem okno, aby świeżem odetchnąć powietrzem.

Zasłyszałem jakieś głosy kobiece. Panna Pulcherya rozmawiała z Anastazyą. Snać niedaleko mnie mieszkały.

— Gdybym była młodszą — mówiła panna Pulcherya — trudnoby mi było przestać myśleć o panu

Karolu. Chłopiec gładki jak politura, a zgrabny i fertyczny jak wrzeczono.

— Ależ on, ciociu, szuka znacznego posagu — poderwała Anastazyą.

— No... tak... zaprawdę — cedziła ciocia.

— Wprawdzie dzisiaj... zaczęła Anastazyą i urwała.

— Dzisiaj — powtórzyła ciocia.

— Pan Krzysztof bardzo nas kocha — mówiła znów Anastazyą.

— Ciebie, Naściu, najmocniej — dorzuciła ciocia.

— Jakto? — zapytała narzeczona pana Marcina.

— Szepnął mi w sekrecie do ucha — mówiła zcicha panna Pulcherya — że jeśli wszyscy nie przyjdą na miejsce oznaczone, to tobie tylko ten skarb zapisze. Bo wtedy zapis wczorajszy nie będzie ważny.

Nastąpiło milczenie. O czem pan Marcin śnił w tej chwili, łatwo odgadnąć. Zapewne śnił o złotych, słubnych pierścionkach, słyszał we śnie, jak organista wyciągał *veni creator...*

Zamknąłem okno i usiadłem w głębi izdebki. W szyby okna świecił księżyc biały. Zdawało mi się, że około wzgóрка, pomiędzy drzewami, widziałem jakieś ludzkie, pojedynczo przesuujące się postacie. Jakoś ciężko zrobiło mi się na sercu. Wziąłem „Złoty Oltarzyk“ i otworzyłem. Wypadła mi „modlitwa w utrapieniu.“

Ciężkie zmory trapiły mnie we śnie. Już dobrze słońce w oczy mi świeciło, gdy pan Krzysztof wszedł do mojej izdebki. Miał jakiś dziwny uśmiech na twarzy.



— Waszeć spis—zawołał żartobliwie—a ksiądz proboszcz pewnie się już niepokoi. Żona waszmości od godziny trefi włosy, aby się mężowi przypodobać.

Porwałem się z łóżka, a za pół godziny byłem już w komnacie jadalnej, w której mieliśmy przedemszą zjeść wspólnie śniadanko.

Zastałem tam pana Jędrzeja z godną jego małżonką. Chociaż nie zmawialiśmy się wcale, byliśmy jednak świętecznie ubrani. Bo też uroczystością jest każdy akt zgody i jedności.

Po chwili nadeszła moja żona, ubrana jakby do ślubu. Uradowało mnie to, że nie lekceważy tej chwili. Naciągnęła za nią panna Pulcherya z ogromną fluksją na twarzy. Pan Krzysztof pełnił obowiązki gospodarza i krzątał się po komnacie.

— A gdzie Anastazy? — zapytali rodzice.

— Biedaczka cierpi ogromną migrenę — odparła ciocia.

Pan Jędrzej spojrział na żonę. Pan Marcin, który właśnie taraz wszedł w nową, granatową czamarę i te słowa słyszał, zmieszał się nieco. Pan Krzysztof nie tracił fantazyi, zapraszając gości do stołu.

— Zawołać wszystkich — krzyknął pan Jędrzej do starego sługi, który stał przy drzwiach.

Długi czas złowieszcze panowało milczenie. Tylko pan Krzysztof był wesół i dobrej myśli.

Wreszcie wrócił służący.

— Gdzie pan Kajetan? — zapytał drżącym głosem Boleszczycki.

— Nie przyjdzie, bo mu katar spadł na piersi — odpowiedział sługus. Prosi o rumianek na poty.

Sędziwa twarz staruszka zadrgała nieprzyjemnym uczuciem.

— A pan Sylwan? — zapytał po chwili.

— Ma kurcz wątroby i chce pijawki stawiać — odparł posłaniec.

Był to ulubiony syn matki. Pani Jędrzejowej stały łzy w oczach. Wyszła czempredzej.

— A gdzie Amilkar? — pytał staruszek, a jasna łza drgała mu pod srebrną powieką.

— Jest niedyspozyt — odpowiedział sługa — i bardzo przeprasza, że służyć nie może.

— A Makary? — z wysileniem wyrzekł Boleszczycki.

— Reumatyzm wlaźł mu w nogi i ruszyć się nie może — odparł sługus i uśmiechnął się brzydko na sposób swego pana.

O biedną sierotę nikt się nie pytał. Weszła ona niepostrzeżona i stanęła w kąciku. Na jej bladej twarzy malowała się boleść.

Kilka chwil patrzyliśmy po sobie w milczeniu. Moja żona gniewała się na niegrzeczność kawalerów. Pan Jędrzej mocno posmutniał, a zwróciwszy się do pana Krzysztofa, rzekł:

— Krzysztofie, po cóż było to robić?

Więcej nie wyrzekł ani słowa. Łzy, duże jak grad, puściły mu się z oczu.



Pan Krzysztof przyskoczył do niego, a ściskając go, rzekł:

— Co się odwlecze, to nie uciecze. Jeśli dzisiaj rodzina twoja nagle pochorowała się, to odłożmy rzecz do jutra.

Nadzwyczajna grzeczność i wesołość pana Krzysztofa nie uspokoiły trwożliwego serca pana Jędrzeja. I mnie coraz smutniej było, a kobiety wkrótce po śniadaniu powynosiły się.

Mszę świętą odłożono do jutra. A chociaż gospodarz różne wymyślał krotochwile, aby nas przez dzień cały zabawić, i po kilka razy chorych odwiedzał i uspakajającą dawał nam relację, mimo to coś ciążyło nad nami, jakby jakaś chmura złowieszcza.

I tak przeminął dzień cały. Każdy z chorych obiecywał, że jutro zdrowym będzie.

Wreszcie nadszedł wieczór. Po wieczerzy odszedłem znów do mojej izdebki. Długo czytałem na książce i rozmyślałem nad dzisiejszym wydarzeniem.

Było już koło północy, gdym się chciał spać położyć. Przystąpiłem do okna, księżyc świecił jasno, jak wczoraj. Zdziwiło mnie, że koło wzgórką pomiędzy drzewami widziałem znów jakieś ludzkie postacie, które kryły się w cieniach.

Wziąłem czapkę i wyszedłem.

Na dworze była cisza, słychać było każdy listek spadający na ziemię.

Zaraz za ogromnym kasztanem zdybałem Kajetana. Ukrywał za sobą jakieś narzędzie do kopania.

— A cóż tam katar? — zapytałem.

— Trochę mi lepiej—odparł zakłopotany—świeże powietrze sprawia mi ulgę... Czy to prawda, panie Michale, że z miejsca, gdzie są pieniądze, wychodzi siny płomyk?

— Tak mówią — odpowiedziałem — ale mam waszmości dobrą zwiastować nowinę. Panna Klara, dla której od młodych lat macie afekt, będzie bardzo bogatą!

— Jakto?—krzyknął Kajetan, aż echo się ozwało.

— Pan Krzysztof daruje jej cały skarb—mówiłem dalej—bo dzisiaj nie wszyscy na miejscu stanęli.

Kajetan rozdziawił gębę, stał tak przez chwilę, a potem wybuchnął:

— Da jej cały skarb!... Zapewne wtedy nie zechce pójść za mnie! Niezawodnie nie pójdzie!... Tak to, panie Michale, dzisiaj nie ma świecie ani szczerego serca, ani uczuć szlachetnych!... Jam od dzieciństwa do niej się przywiązał, grałem z nią w konia, w ciuciu-babkę i w sekretarza... zbierałem dla niej stokrotki i maczek polny... a w tej chwili ona pewnie i nie myśli o mnie!... Świat brzydki, samolubny, panie Michale... tylko plunąć na niego i kwita!...

I byłby jeszcze dłużej wyrzekał na świat zepsuty poczciwy Kajetan, gdyby nie był ujrzał kogoś pod wzgórkim. Nie chcąc zapewne wilgotnym oddychać powietrzem, pożegnał mnie i zniknął w ciemnej alei.

Kilka kroków dalej spostrzegłem Makarego. Przycupnął za krzakiem.



— Czy wasze botanizujesz? — zapytałem.

— A tak... niby... — odparł zakłopotany Makary — widziałem tu świętojańskiego robaczka.

Chociaż o świętojańskich robaczkach jeszcze nikt nie myślał, nie powiedziałem na to ani słowa, tylko rzekłem:

— A cóż tam reumatyzm?

— Majowa rosa sprawia mi ulgę — odpowiedział.

— Kiedy tak — mówiłem dalej — to możemy się przejść po alei i rozmawiać o książkach, które waść piszesz.

Chcąc nie chcąc, przystał na to Makary, zerka-  
jąc zukosa na trzecią lipę z kraju.

— Jeśli się nie mylę — mówiłem do niego — to pierwsza książka, którą pan koncupujesz, ma mieć napis: *O potrzebie zgody i jedności między nami.*

— A tak — odparł Makary i znów zerknął na trzecią lipę.

— Drugą książkę nazwałeś waść: *O potrzebie ofiary i poświęcenia.*

— A tak — mruknął znów Makary.

— Trzecie dzieło waszmości ma nam zalecić: *Wspólność w sprawach naszych.*

— Nie inaczej — odparł i obrócił się do fatalnej trzeciej lipy.

— A więc na ten raz poprzestaniemy na przypomnieniu tytułów prac waszmościny — rzekłem — jutro przejdziemy *ad specialia.*

Obróciłem się : odszedłem.

Sylwana i Amilkara także zdała poznałem, jak tę nieszczęsną lipę okrażali, a zbliżyć się do niej nie mogli, bo jeden przed drugim ukrywać się musiał. Ale już ich nie zaczepiałem. Widać, że Sylwan nie-cnota i o czarnych oczach, o których śpiewał w Boleszczycach, zapomniał w tej chwili. Amilkarowi cho-  
dził po kościach tytuł, jak się to potem okazało. Skarb ukryty miał go do tej jedynej mety jego życia za prowadzić.

Tak to najszlachetniejsze nadzieje nasze rozbijają się nieraz o to, że tylko o sobie myślimy. Synowie pana Jędrzeja całą noc krążyli kóło skarbu, a żaden dlatego nie mógł się zbliżyć do niego, bo każdy z nich chciał go mieć dla siebie.

Nazajutrz zesłiśmy się znów razem na śniadaniu. I znów — nie było rodziny pana Jędrzeja.

Mój Boże! jak to trudno o tę jedną chwilę zgody, kiedy w sercach naszych rządzi tylko interes osobisty! Czemże są owe piękne słowa, owe deklamacje? Obluda i podłość!

Pan Jędrzej był mocno błądy. Widać było, że przebył noc bezseną. Ale staruszek nie wyrzekł dzisiaj ani słowa. Milczał, tylko z ust boleśnie zaciśniętych można było poznać, że wiele cierpi.

Koło południa położył się do łóżka.

Przy wieczerzy już nas tylko dwóch było, ja i pan Krzysztof. Pani Jędrzejowa siedziała przy łóżku chorego męża.



Pan Krzysztof uśmiechnął się i rzekł do mnie:

— Cóż waszmość na to wszystko?

Ruszyłem ramionami.

— Otóż dopiąłem swego — mówił dalej. — Boleszczyckich w puch rozbiłem.

— Jakto, więc to był ostateczny cel całej tej komedyi? — zawołałem oburzony.

Pan Krzysztof roześmiał się i rzekł:

— Musisz waszmość wiedzieć, żem z rodu Sicińskich. Głupi gmin wierzy, że każdy Siciński dziecizy ducha niezgody swego przodka. Nieprawda. We wszystkich ludziach siedzi utajony Siciński, tylko trzeba go zbudzić. Egoizm, interes własny, namiętności nasze — to Siciński. A bez nich nie ma człowieka. Widzisz co się stało. Za dziesięć lat kupię Boleszczyce za pół ceny — bo rodzina Boleszczyckich runie niezgodą! —

Zerwałem się z krzesła i zawołałem:

— Przeklęty, trzykroć przeklęty niech będzie ten, który dla zysków osobistych rozsiewa niezgodę między bracią, wzniecając sztuką ich namiętności!... Kamień młyński uwiązać mu u szyi i zanurzyć w głębokościach morza!

Pan Krzysztof rozśmiał się tak okropnie, że aż mi włosy na głowie stanęły.

— Głupi człowieku — krzyknął — ty sam jeden świata nie naprawisz!

— A ty nie zepsujesz go sam jeden — zawołałem i wyszedłem z komnaty.

Krzyknąłem na Grześka i tej jeszcze godziny kazałem zaprządz do kolasy. Żona moja rada nicrada musiała się na to zgodzić. Wolałem w pierwszej lepszej karczynie nocować, niżeli być pod dachem człowieka, który sieje niezgodę i zabija ludzi.

Za godzinę wyjechałem ze „Złotej Góry.“

Od tego czasu minęło wiele lat. Pan Jędrzej chorował cały rok na jakąś chorobę sercową i umarł, dowiedziawszy się, że Sylwan go procesuje. Pani Jędrzejowa wyprowadziła się na stare swoje lata do pobliskiego miasteczka i tam w rok poszła za mąż. Biedna sierota służy za kawałek chleba.

Boleszczyccy rozbiegli się po całym świecie, procesując się między sobą.

Pan Krzysztof dostał szaleństwa i po całych dniach śmiał się tak przerażającym głosem, że żaden sługa nie mógł u niego wytrzymać. W końcu obwiesił się na trzeciej lipie przy wzgórku w ogrodzie „Złotej góry.“

Prócz owego zapisu w dniu św. Floryana, nie zostawił żadnego testamentu.

Sąd uznał go za jedynego, prawomocny dokument i do egzekucji tej woli ostatniej nieboszczyka Krzysztofa zwołał całą Boleszczyckich rodzinę.

Żaden nie stanął na miejscu. Procesy ciągną się dalej.

Dwór w Boleszczykach rozwałił się, nietoperze i sowy gnieźdzą się w sterczących kominach, obrzydliwy gad pełza między rumowiskiem.



A skarb zakopany leży dotąd nietknięty!  
Trzydzieści kilka lat minęło od tego czasu,  
a jeszcze nie nadeszła ta chwila zgody braterskiej.

Wieść o zakopanym skarbie i niezgodzie tych,  
których on wspólną jest własnością, rozeszła się między  
lud okoliczny i różne opowiadają o tem rzeczy.

I mnie też przez te czasy nienajlepiej się powo-  
dziło, ale o tem innym razem.

Patrząc na to wszystko, za czem się dzisiaj ludzie  
uganiają, bolałem srodze i nieraz otworzywszy „Złoty  
Ołtarzyk“ i odmówiwszy „modlitwę w utrapieniu,“ do-  
dawałem w końcu:

— O Boże, Tyś źródłem czystej miłości, spraw  
to, Wszechmocny, aby zgoda i miłość panowały mię-  
dzy nami.

I Bóg wysłuchał mnie i zesłał mi anioła pocie-  
chy i nadziei.

Przed dziesięciu laty przejeżdżałem przez „Złotą  
Górę.“ Dwór się zapadł, lipy na wzgórku poschły,  
inne wicher powywracał, a niektóre ścięła ręka bez-  
bożna. Smutno, bardzo smutno było mi w duszy.  
Przyszła mi na myśl niezgoda między bracia.

— I długoż trwać będzie ta niezgoda? — zapy-  
tałem siebie.

Koło kościółka kazałem stanąć, aby konie wy-  
poczęły. A sam, zdjawszy czapkę, poszedłem na cmen-  
tarz, aby odmówić Anioł Pański, bo właśnie dzwoniło.

Na cmentarzu bawiły się dzieci.

— Bawmy się w „skarb zakopany“ — zawołał  
jakiś miły chłopaczek o błękitnych oczach.

— Bawmy się, bawmy się! — zawołały dzieci.  
Stanąłem koło muru i patrzyłem z boku. Zdzi-  
wiło mnie to szczególne zdarzenie.

Jeden z chłopców z rudą czupryną udawał ś. p.  
Krzysztofa i zapisywał drugim skarb ukryty. Ale prze-  
dewszystkiem mieli wszyscy zgadzać się z sobą.

Serce uderzyło mi w piersi, zdawało mi się, że  
Bóg przez te dzieci do mej zbolalej duszy przemawia.  
Jakoż doznałem wielkiej pociechy. Wszystkie dzieci  
otoczyły w zgodzie i jedności ogromny kamień i współ-  
nemi siłami ruszyły go z miejsca.

Podziękowałem Bogu za tę pociechę i rzekłem  
do siebie:

— Boleszczyccy nie wydobędą skarbu, który  
w ziemi leży, ale dzieci ich dostaną go.

Gdym siadał na bryczkę, ujrzałem niskiego, pę-  
katego człowieczka, biegnącego z ogromnym kijem na  
cmentarz kościółka.

— A to urwisze, te dzieciaki! — krzyczał i ma-  
chał kijem.

— Cóż one panu zrobiły? — zapytałem.

— Wyobraż pan sobie — mówił pękaty czło-  
wieczek, sapiąc z gniewu — uroiło się tym dzieciakom,  
że pod tym dużym kamieniem są pieniądze!

— Wszak go nie ruszą z miejsca! — wtrąciłem.

— Ba! — zawołał nieznajomy — jak się wszyscy  
razem wezmą!



Rozśmiałem się i kazałem zaciąć konie.

Był to administrator „Złotej Góry.“ Żył on z niezgody między rodziną, toż każda zgoda, nawet u dzieci, była mu nieznośną.

Zajrzałem do rubryceli, był to dzień św. Floryana.

\*  
\*      \*

Na tem kończy się opowiadanie JM. Pana *Symphicjusza Prawdzica*, którego zna cała ziemia Przemyska. Słuchałem tego opowiadania będzie temu lat kilkanaście. Powtórzyłem je tu prawie dosłownie, bo mocno utkwilo mi w pamięci. Opowiadał nam także o jednej rodzinie, która w zgodzie i jedności wiele dokazała rzeczy. Jak będzie czas potemu, może to kiedyś „w kółku rodzinnem“ powtórzę.



268499